Cena 8 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 27 października 1946 r. | Nr 42 (70)

Maciej Czuła

Wielcy wodzowie chłopscy (I)

Ks. Stanisław Stojałowski

(1845—1911)

Nie łatwo jest dzisiejszemu pokoleniu zrozumieć i pojąć niektóre wypadki polityczne w drugiej połowie XIX wieku, w tej części Polski, którą po przyłączeniu Austria przezwała oficjalnie Galicją i Lodomerią.

Szlachta polska po nieszczęśliwym powstaniu w r. 1863 zwątpiła w niepodległość i zaprzęgła się w służbę Austrii, a jej ówcześni przywódcy profesorowie J. Szujski i S. Tarnowski, publicyści P. Popiel i S. Koźmian i wielcy obszarnicy hr. K. Badeni i hr. A. Potocki głosili bez żenady patriotyzm austriacki, owijając się niby bluszcz koło tronu Habsburgów. A jako więcej cesarscy niż sam cesarz zdobywszy rządy w kraju — prześladowali z niesłychaną zaciekłością i barbarzyństwem polskich patriotów marzących o powstaniu Polski i podniesieniu ludu z wiekowej niewoli i ciemnoty.

Stąd bezprzykładne i zaciekłe prześladowanie przez szlachecki Rząd Krajowy i Rząd Centralny w Wiedniu pierwszego apostoła sprawy ludowej i wielkiego przywódcy ludu ks. Stanisława Stojałowskiego, co odbiło się echem w całej Polsce i niemal Europie.

Szlachecki syn wydalony z gimnazjum za działalność patriotyczną, eks-jezuita i b. proboszcz posażnej parafii kulikowskiej, o naturze niespokojnej i popędliwej, wszechstronnie wykształcony i wymowny, z fanatycznym ogniem w oczach, przypominał ks. Stojałowski innego młodego konfratra — działającego już w Polsce niepodległej i w innym kierunku — ks. Lutosławskiego, a był czas, że panował tak nad polską wsią, jak niegdyś słynny ksiądz Orzechowski nad dworkami szlacheckimi. — Bo walczył ze złem — oświecał wytrwale lud, a głosił prawdę i miłość. Czego chciał ksiądz Stojałowski? O co walczył wytrwale przez blisko 40 lat? Za co go więziono, prześladowano, oczerniano?

Być może, że jak każdy wielki działacz szukał dla swoich celów wielu dróg, które go zawiodły i przez to popełniał błędy. Może także nie zawsze wysunął w swojej gazetce hasło Krasińskiego: „Jeden tylko, jeden cud, z polską szlachtą polski lud“. A szlachta nie chciała iść z ludem — ona wolała panować nad ludem. —

Ks. Stojałowski nie był bynajmniej w stosunku do całej ówczesnej reakcji nastawiony rewolucyjnie i szukał pojednania, a takim, jakim poznaliśmy go później: gwałtownym i nieprzebierającym nieraz w słowach, stał się dopiero po nagonkach na niego urządzanych. O czym myślał i co zamierzał, świadczy najlepiej, ułożony przez niego „Program chrześcijańsko ludowego stronnictwa“, któremu przewodniczył, a który w wielu punktach zwłaszcza w dziedzinie religijnej był oryginalnym i postępowym, ale także jak na dzisiejsze czasy wydawałby się mocno łagodny w innych żądaniach.

Oto streszczenie programu „chrześcijańsko - ludowego“.

1) **Pod względem religijnym:** zupełny samorząd kościoła i wyznań, wybory biskupów i proboszczów przez wiernych i świecki zarząd majątkami kościelnymi. Kościół nie powinien być „parobkiem Państwa“.

2) **Pod względem naukowym:** bezpłatne nauki we wszystkich szkołach, wyzwolenie nauki spod opieki państwa i autonomia zakładów naukowych.

3) **Pod względem politycznym:** rozszerzenie praw obywatelskich, powszechne, bezpośrednie i tajne głosowanie przy wyborach, ustanowienie i rozszerzenie samorządów w powiecie i gminie, zniesienie obszarów dworskich i poszanowanie wolności osobistej. — Wolność prasy, zniesienie zakazu rozdawania pism i druków i zniesienie stempla dziennikarskiego. (Ciekawym należy wyjaśnić, że w Austrii do końca XIX w. wydawcy tygodniowych pism musieli opłacać stempel dziennikarski po 1 cencie. Obchodzono ten przepis w ten sposób, że wydawano jedno pismo pod dwoma tytułami np. w jednym tygodniu „Wieniec“, a w drugim „Pszczółkę“. W ten sposób chłopi mieli gazetę na każdą niedzielę, ale ponieważ ani „Wieniec“ ani „Pszczółka“ nie wychodziły co tydzień — nie płacono od nich stempla).

4) **Pod względem społecznym:** zniesienie przywilejów dla pewnych stanów i ludzi, poszanowanie rodziny i ogniska domowego, ochrona rzemiosł przed przeciążeniem pracą i ochrona dzieci przed zbyt wczesną pracą i wyniszczeniem sił.

5)**Pod względem ekonomicznym:** ustawowe związki rolnicze, ochrona rolników przed lichwą, ułatwienie spłaty długów rolniczych, zniesienie nierówności w opodatkowaniu, zniesienie podatków spożywczych (wyjąwszy od zbytków), zmniejszenie wydatków na wojsko i uzbrojenie, skrócenie ćwiczeń i służby wojskowej, przyśpieszenie rozwoju przemysłu i regulacji rzek. **Reforma prawa własności** i prawa dziedziczenia. Uspołecznienie wszystkich skarbów przyrody powstałych bez pracy.

6) **W dziale ustawodawstwa robotniczego** żądano: wprowadzenia 8-godzinnego dnia pracy w przemyśle, zabezpieczenia sprawiedliwej zapłaty, ustanowienia odpoczynku niedzielnego, ograniczenia pracy nocnej, wynagrodzenia w razie wypadku, zabezpieczenia w czasie choroby i niezdolności do pracy i na starość, wreszcie samorządu w stowarzyszeniach i kasach robotniczych.

7) **W sądownictwie** program przewidywał zmianę ustawodawstwa cywilnego, które wtedy służyło do ochrony kapitału i bogaczy; żądał ochrony uboższych ludzi przed zniszczeniem dokonywanym ustawowo przez egzekucję odsetek i koszta sądowe. Żądano również bezpłatności w sądownictwie.

Program jak widać nie był wcale rewolucyjny, raczej postępowo - umiarkowany. Nie przewidywał nawet pięcioprzymiotnikowego prawa głosowania. Ale ówczesna reakcja szlachecka nie mogła i tego umiarkowanego programu ludowego, a szczególnie jego autora strawić i wydała mu walkę na śmierć i życie, szczując żandarmami niby dzikiego zwierza i sadzając go raz po razu do więzienia.

Było to w roku 1910 w 500-letnią rocznicę zwycięstwa oręża polskiego nad krzyżackim zakonem. Natchnęła ona mistrza Paderewskiego do ufundowania Krakowowi a raczej Polsce wielkiego i pięknego pomnika Grunwaldzkiego „praojcom na chwałę, braciom na otuchę“ na placu Matejki w Krakowie. Były z tego powodu wielkie uroczystości z olbrzymim pochodem na Wawel, przy czym zwracały uwagę delegacje Polaków ze wszystkich krajów, gdzie zamieszkiwali, a przede wszystkim z Ameryki.

Niedługo odbyło się sypanie a potem poświęcenie drugiego takiego pomnika w Niepołomicach pod Krakowem. Pomnika tego nie tworzył artysta, bo usypał go lud w formie kopca, który panuje nad okolicą.

W tym czasie pisywałem od czasu do czasu korespondencje do prawie jedynego pisma ludowego „Wieńca—Pszczółki“, kiedy pewnego razu przyniósł mi listonosz telegram, w którym ks. Stojałowski (jeszcze go wtedy mało znałem) — wzywał mnie do siebie do Przemyśla, gdzie leżał chory w klasztorze sióstr Felicjanek. Ks. Stojałowski miał tam rodzoną siostrę Wandę, która pod imieniem siostry Franciszki była przełożoną klasztoru. Jadąc z Białej, gdzie stale mieszkał, na posiedzenie sejmu do Lwowa zasłabł w drodze i wstąpił do siostry, u której znalazł gościnne przyjęcie i opiekę w chorobie. Zdziwiłem się trochę treścią listu od niego, bo co ks. Stojałowski mógł ode mnie żądać, skoro jego zajęciem była polityka, a ja byłem wtedy jeszcze 21-letnim młokosem i na polityce się nie wyznawałem.

Pojechałem jednak do Przemyśla, gdzie zastałem go w łóżku. Był widocznie osłabiony, jednak przygarnął mnie do siebie i ucałował w czoło. Niedługo wyjaśnił mi, w jakim celu mnie zaprosił. Chodziło mu o takie przeprowadzenie agitacji w moim rodzinnym powiecie wielickim, żeby przepadł tam przy wyborach dotychczasowy jego stronnik, a potem odstępca inż. Wiktor Skałyszewski, a został posłem wybrany jakiś inny — cieszący się u chłopów zaufaniem — jego stronnik. Nie pomogły moje tłumaczenia, że nie potrafię tego dokonać. Wręczył mi 80 koron na koszta agitacji w powiecie, udzielił mi kilku rad i pożegnał. Cóż było robić? Oprzeć się mu nie mogłem, więc udałem się w powiat, ale nic nie zdziałałem, bo ludowcy dawno już tam agitację rozpoczęli, przeprowadzając na posła późniejszego ministra rolnictwa w rządzie polskim— dra Franciszka Bardla.

Myślałem, że po tym moim niefortunnym występie poiltycznym ks. Stojałowski zapomni o mnie — tymczasem jakież było moje zdziwienie, gdy niedługo otrzymuję telegram tej treści: „przyjeżdżaj do mnie do Białej na dłuższy czas. Ksiądz Stojałowski“.

I znowu zastanawiałem się co zrobić — uśmiechało mi się miasto i pragnąłem od dawna innego **ludzkiego** życia, bo na wsi widziałem tylko nędzę i żur z ziemniakami; ale do czego ja się w mieście — i to u ks. Stojałowskiego — mogę nadawać? Pozatem nie miałem odpowiedniego ubrania do miasta, a dwie koszule wyszywane w kwiaty (bo takie wtedy noszono koło Krakowa) akuratnie ze starości się rozłaziły.

Potrafiłem się jednak zakrzątnąć koło rodziny dość szczęśliwie, bo mi dali pieniędzy na koszulę i na drogę — pojechałem więc do Białej szukać szczęścia.

Ks. Stojałowskiego nie zastałem. Przyjęła mnie w jego imieniu pani Julia Szczucińska, jego gospodyni i powiernica. Była to przystojna brunetka, w średnim wieku i odrazu wywarła na mnie wrażenie.

Ksiądz Stojałowski wrócił za parę dni i natychmiast zaprosił mnie do siebie. — Mój kochany — zaczął — starzeję się już, jak widzisz i gwiazda moja też blednie (miał wtedy 65 lat) a wszystkim moim obowiązkom sprostać nie mogę i potrzebuję pomocy. Jesteś młodym i, zdaje mi się, zdolnym samoukiem, a majątku nie masz, bo byś się przecież nie włóczył za pracą po Prusach — możesz więc u mnie zostać i uczyć się bodaj zecerstwa. A ponieważ masz pisarskie zacięcie, możesz i w tym kierunku się dokształcać. Nie wyznaczam ci pensji, ani godzin pracy, jeśli będziesz miał zapał do pracy, to się wybijesz, a wtedy nie zapomnę o tobie. Na razie masz mieszkanie i utrzymanie, od twojej woli zależy, czy zasłużysz na pieniężne wynagrodzenie.

To mówiąc uścisnął mi rękę i ucałował znowu w czoło, za co ja jego rękę ucałowałem.

Za parę dni znowu wyjechał na wiece czy do sejmu, z czego się ucieszyłem, bo mogłem swobodnie w towarzystwie pani Szczucińskiej oglądnąć pokoje księdza oraz drukarnię.

Sam dom był niski, stary, parterowy, ale wyglądał dość obszernie i raczej na ujeżdżalnię; położony był w mało ruchliwej części miasta przy ulicy Zamkowej Nr. 1. W jednej części domu była redakcja i prywatne mieszkanie redaktora, składające się z 4 ubikacji. Połowa domu przeznaczona była na drukarnię, wtedy jeszcze ręczną. Biło się w niej tygodniowo 3,500 — 4,000 egz. „Wieńca — Pszczółki“, i rozmaite broszury w rodzaju „Nie pójdziemy do Kanossy“ i t.d. Do domu przylegał nie duży ogród, ulubione miejsce spaceru ks. Stojałowskiego i jego zastępczyni w redakcji p. Heleny Hempel. Była ona długoletnią współpracowniczką ks. Stojałowskiego jeszcze z czasów, gdy on był

proboszczem w Kulikowie, i utalentowaną literatką. Księdza Stojałowskiego ceniła wysoko i nieraz opowiadała o zdarzeniach z nim w redakcji i różne zabawne historyjki, z których jedną pozwolę sobie przytoczyć.

W roku 1897 odbywały się wybory do parlamentu, a z kandydatów wysuniętych przez ks. Stojałowskiego wybranych zostało sześciu: Fr. M. Danielak, ks. A. Szponder, Jan Zabuda, Jan Kubik, T. Szajer i R. Cena. Ks. Stojałowski nie był wybrany, gdyż uciekając przed aresztowaniem na Węgry, do Czacy, nie mógł się podczas wyborów w Galicji pokazać. Zacięty jego wróg hr. Kazimierz Badeni kazałby go jako prezydent ministrów aresztować.

Zjechali się do niego po wyborach wybrani posłowie, a z braku miejsca w redakcji urządzili wspólne posiedzenie w restauracji. Znaleźli się tam jednak żandarmi, którzy, nasłani widocznie przez przyjaciół Badeniego, przeszkadzali im w rozmowach, a w końcu zabronili im — oczywiście bezprawnie — rozmawiać o polityce. Wówczas ks. Stojałowski pyta żandarmów pół serio a pół żartem, czy mogą śpiewać. Zaskoczony tym pytaniem żandarm mówi: śpiewać możecie. Wówczas posłowie zaczęli sobie śpiewać na nutę: Kasiu moja, Kasiu. Pierwszy Kubik zanucił — mając na myśli rozłam w Kole Polskim:

„Posłowie, posłowie do Wiednia jedziecie,
Koło się zepsuło, naprawcie je przecie".

A Zabuda ułożył zwrotkę:

„Pobłogosławże nam przenajświętszy duchu,
Niech żyje nam poseł, ten w białym kożuchu" — miał na myśli Cenę.

Ks. Stojałowski zachęcony do śpiewania odpowiada:

„Śpiewać mi każecie, nie żądajcie cudu.
Ja jednego pragnę — dobra mego ludu!".

Nie zapomniano też o uwięzionym T. Szajerze, któremu zaśpiewano:

„Śpiewamy, lecz nie jest pełna radość nasza,
bo nam tu brakuje Szajera Tomasza".

A biedny poseł Szajer, którego koledzy tak mile wspominali, przesiedział jeszcze trzy tygodnie w areszcie rzeszowskim i grubo później ze swymi kolegami — posłami pojechał do Wiednia.

Podobne bezprawia, dzisiaj wprost nieprawdopodobne, powtarzały się wówczas bardzo często do tego stopnia, że się nawet nikt temu nie dziwił.

W tym czasie miał już ks. Stojałowski poza sobą 40 lat pracy poselskiej i dziennikarskiej, poza nim były już lata górne i chmurne, obfite w zdarzenia, szykany, więzienia. Przelicytowali go i wzięli górę nad nim młodsi, jak Stapiński, Daszyński i inni.

Stawiano mu wiele zarzutów. Tymczasem ks. Stojałowski, zawsze młody umysłem, odpierał te ataki ostro, złośliwie, z brawurą i przekonywująco.

Powinniśmy się porozumieć z narodem rosyjskim — pisał — to naród słowiański nam bliski. Jeżeli naród polski z tamtej strony doznał krzywdy, to robił to rząd rosyjski, przeważnie z Niemców złożony, nie naród — największymi naszymi wrogami byli i będą Niemcy, nie Słowianie. Pisał także, żeśmy źle czynili pchając kulturę na wschód, którego nie potrafiliśmy spolszczyć, a ustępujemy Niemcom krok za krokiem ze rdzennie polskiej ziemi. Ułożył nawet, bo pisał także wiersze, „ku pokrzepieniu serc" pieśń bojową antyniemiecką, zaczynającą się od słów:

„Za Odrę, hej za czeski las ruszajcie Niemcy precz,
bo wkrótce sądu przyjdzie czas, słowiańskich praw uderzy miecz,
gdzie lud słowiański nasz od wieków dzierży straż".

Miał ze swoją słowianofilską ideą dużo zrozumienia u ludzi pracy, chłopów i robotników, nie miał go natomiast u inteligencji i obszarników.

W długich nieraz zimowych wieczorach, gdy był obecny w redakcji i ochotny do zwierzeń, potrącałem o wszystkie te zarzuty i tak mi też tłumaczył, a nie kłamał, bo nie był chyba w stanie mówić nieprawdę.

Stykając się z nim często w czasie rocznego u niego pobytu, mogę tę niecodzienną wybitną postać scharakteryzować następująco: ks. Stojałowski był więcej niż średniego wzrostu, silnie zbudowany, zdrowy, o twarzy dużej, bladej, cokolwiek pociągłej, wyrazistej. Czoło miał wysokie, nos orli, głos miły, melodyjny. Mówił wolno, dobitnie i przekonywująco. Jako człowiek z doświadczeniem i wykształcony odparowywał zarzuty natychmiast, a w polemice był niezwyciężony. Miał zawsze dużo humoru, którym z umiarem operował. Jadał i ubierał się skromnie, alkoholu nie używał, zato namiętnie palił. Pisał szybko i płynnie (maszyn do pisania jeszcze nie było), rzadko tylko raz napisane zdanie kreślił, czasem tylko zmieniał tytuły. Przy pisaniu zmieniał często krzesło i wysuwał w zapomnieniu raz w lewo to znów w prawo język. Osobiście był człowiekiem dobrym, uczynnym i wyrozumiałym na ludzkie błędy. Jako polityk namiętny nie idący na kompromisy miał wielu nieprzyjaciół, z których naj bardziej mu dokuczył biskup krakowski kardynał Puzyna, jeden z inicjatorów klątwy rzuconej na niego w 1895 roku.

I choć klątwa z niego została później zdjęta, nie mógł już ks. Stojałowski w diecezji ks. kardynała Puzyny odprawiać Mszy św., bo ten na to nie pozwalał.

Ks. Stojałowski był bezsprzecznie człowiekiem liberalnym o szerokich horyzontach. Pisał o konieczności zaprowadzenia polskiej liturgii w kościele, a o zniesieniu łacińskiej i niewątpliwie blisko był polskiego kościoła narodowego, dla którego nie znalazł jednak zrozumienia.

Oprócz polityki, która go do końca pracowitego życia absorbowała, poświęcał on zawsze dużo czasu sprawom społecznym i narodowym. Okiem w głowie był mu zawsze Dom Polski w Bielsku przez niego polskiemu społeczeństwu ufundowany, a w którym pomieszczono wszystkie polskie towarzystwa. Dużo także czasu poświęcał kwestii robotniczej, zakładając bratnie pomoce, oraz kwestii kobiet, dla których wydawał pismo redagowane przez p. Hempel p.t. „Niewiasta". Dodatek humorystyczny „Cepy" redagował Jantek z Bugaja, a drugi — „Gospodarza" M. Kabaj. W redakcji pracowali oprócz p. Hemplowej: Stanisław Stochondel i Jan Ruda.

Jeżeli chodzi o moje początkowe czynności, to ks. Stojałowski mnie nie krępował. Najchętniej chodziłem na pocztę po stosy listów i gazet, które sobie po drodze mogłem przeglądnąć. Poza tym czytałem listy chłopskie i „obrabiałem" je na artykuły. Pisywałem także własne artykuliki, układałem „kronikę" i td. a najchętniej podróżowałem z ks. Stojałowskim na zgromadzenia, bom chciał koniecznie opanować sztukę wymowy, ci mi się nawet częściowo udało.

W połowie lata 1911 rozpisane zostały wybory do Rady Państwa, a ks. Stojałowski postawił swoją kandydaturę w dwu powiatach: chrzanowskim i brzeskim. Byłby niewątpliwie mandat zdobył, ale sojusz drugiego przywódcy ludu Stapińskiego z rządem utrącił ks. Stojałowskiego. Odczuł on też tę klęskę bardzo głęboko, a ponieważ już od dawna przejawiała się groźna choroba raka, położył się po wyborach do łóżka, z którego już się nie podźwignął.

W tym czasie był on już w fatalnych warunkach materialnych z przyczyny wielkiej łatwowierności i dobroci serca. Kto chciał, mógł go wyzyskać, a ksiądz potem nie miał grosza na najniezbędniejsze potrzeby. W wielu wypadkach ratowali go materialnie prawdziwi przyjaciele. W końcu podreperował się sprzedażą domu i drukarni i wydawnictwa endecji, z którą zawarł wpierw przymierze, żeby założyć wspólnie „Związek Ludowo - Narodowy".

Ponieważ czuł się coraz gorzej, przewieziono go do Krakowa i umieszczono w małym pokoiku u św. Rafała przy ul. Zacisze 13, gdzie wezwano biegłych lekarzy. Ci już, niestety, nic nie mogli pomóc i ks. Stojałowski zmarł dnia 23 października 1911 roku o godzinie 1-ej w błogim spokoju, mając w ręku błogosławieństwo papieża. W chwili śmierci liczył 66 lat.

Ks. Stojałowski był typem polityka agitatora. Nie zależało mu, czy nie chciał zorganizować stronnictwa na mocnych fundamentach, nie potrafił pozyskać do pracy nad ludem inteligencji, nauczał i budził z głębokiego snu masy ludowe, sam wiecznie zapracowany, wytrwały, nieugięty. Nikt tak jak on nie umiał trafić do duszy chłopa i robotnika i nikt tak jak on nie poświęcał się dla ludu. Jedenaście razy osadzano go w więzieniach, w których przesiedział kilka lat w sumie nie dając się złamać.

Był na owe czasy dla ludu człowiekiem opatrznościowym. Drugim Mojżeszem wywodzącym lud z niewoli szlacheckiej. I takim też w pamięci ludu pozostał.

Maciej Czuła.

Piotr Ożarowski

O MONOGRAFIE ZIEM

List ze wsi

Artykulik Piotra Ożarowskiego stawia postulaty wciągnięcia szerokiego kręgu ludzi do pracy badawczo naukowej.

Domaga się on stworzenia nowego gatunku wiedzy o kraju poprzez napisanie dziesiątek monografii o poszczególnych wioskach, gminach czy powiatach.

Propozycja wysuwana przez autora nabiera dla nas podwójnego znaczenia. Młodzież wiejska odczuwa potrzebę pełniejszej wiedzy o Ojczyźnie i w stworzeniu tej wiedzy sama pragnie wziąć udział. Narastająca inteligencja wiejska nie chce być tylko konsumentem dóbr kulturalnych, pragnie je na swój sposób tworzyć.

Cenna jest postawa Autora, gdy wypowiada się za potrzebą jakiegoś jednolitego planu tej pracy, wytyczenia jej linii przez ludzi, którzy do tego są powołani — naukowców.

Redakcja wysuwa jedno jednak zastrzeżenie pod adresem autora.

Nie chciałaby, aby proponowane monografie stały się lamusem, w który wszystko z przeszłości danej gminy czy wioski należy wkładać. Bylibyśmy skłonni podtrzymać koncepcję monografii socjograficznej i gospodarczej.

Redakcja

„Wieś" nosi podtytulik pisma społeczno-literackiego, a nie artystyczno-literackiego, więc sądzę, że na łamach jego może się ukazać podobny szkic. Nazwałbym go inaczej, np. „Z wrażeń wędrowca po kraju". Powstał bowiem z refleksji w czasie wędrówki odbytej z konieczności po znacznej części Polski Zachodniej i Środkowej. Uświadomiłem sobie wówczas na podstawie własnej obserwacji i na podstawie spostrzeżeń i zetknięć z wielu ludźmi z różnych stron kraju, jak mało rozwinięta jest znajomość ojczystego terenu nawet wśród ludzi skądinąd inteligentnych. Znajomość trasy kolejowej, ważniejszych stacji, oto nieraz wszystko co się wie o danej okolicy. Świadomy(a) obywatel(ka) kraju tym się nie powinien zadowolić. Nieraz nawet rzeczywiście to mu nie wystarcza. Szuka wtedy taki gorliwie jakiegoś źródła dla zaspokojenia swej ciekawości i najczęściej nie znajduje. Są czasem okolice o charakterystycznie odróżniającym się wyglądzie i swym ukształtowaniu, nawet o innej fizjognomii mieszkańców. Bynajmniej nie mam tu na myśli takich wybitnie odcinających się regionów, jak Podhale, Kaszubszczyzna. Są czasem w obszarze środkowo-polskim w obrębie kilku podobnych do siebie gmin, a nawet powiatów ciekawe „kępy" etnograficzne i dialektologiczne. Czasem jedna lub kilka wsi atakuje nasze zainteresowania, zaraz powstają myśli: skąd ci ludzie są, dlaczego są trochę inni, niż ogół ludności? (mniejsza z tym, czy ta inność jest gorsza czy lepsza). Czasem specjalne rozmieszczenie pól wzbudza zaciekawienie, czasem charakterystyczna nazwa lub nazwisko. Te i tym podobne okoliczności pobudzają zaraz do zastanowienia. Jakby to było dobrze, gdyby kto to wszystko wytłumaczył rzeczowo, dowodowo i na wieczną pamiątkę opisał. Dwa najbliższe mi przykłady. Gmina Kurzelów pow. włoszczowski, woj. Kieleckie. Co charakterystyczne? Brak dworów w całej gminie. Jeszcze przed wojną 1914 r. nie było ich, z wyjątkiem kilku małych majoratów (folwarczków państwowych). A przecież w sąsiednich gminach tegoż powiatu dwory były, nawet duże folwarki. Mimo wybitnie rolniczego charakteru miejscowości gminnej, rozplanowanie wsi raczej małomiasteczkowe, a nie typowo wiejskie. Łąki i kawałki pola porozrzucane w promieniu 8-u kilometrów po okolicznych lasach państwowych.

Jeszcze ciekawy przykład. Na terenie powiatu Łowickiego, woj. Warszawskie, trzy gminy: Bąków, Jeziorko i Kompina wyróżniają się specyficznie od reszty innych gmin powiatu i od wszystkich powiatów sąsiednich — Brzezin, Sochaczewa, Gostynina, Skierniewic. Odróżnienie to jest tak wybitne, że aż prosi się ten temat pod pióro naukowca-etnografa i socjologa do opracowania. Są wprawdzie dziełka śp. Anieli Chmielińskiej entuzjastki tego regionu, ale to nie opracowania naukowe. Takich przykładów możnaby zacytować mnóstwo. Do czego zmierzam? Wytłumaczę dalej. Przed wojną 1939 r. tak zasłużony w dziedzinie naukowej Państwowy Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach wydał serię wartościowych prac naukowych w cyklu „Biblioteki Puławskiej" i wydawnictw Wydziału Ekonomiki drobnych gospodarstw wiejskich. Nie jestem powołany do tego i nie jest moim zamiarem poddawać krytyce to wydawnictwo. Uważam, że na ogół było to cenne wydawnictwo i dobrze opracowane. Otóż wychodziły miedzy innymi w tym wydawnictwie monografie wsi, a nawet w dwóch czy trzech formach monografie powiatów. Zwłaszcza monografie wsi dobrze były opracowane, np. „Wieś Jastrzębia" w pow. radomskim. Zapewnie łatwiej jest opracować monografię wsi niż powiatu. Szczupły teren łatwiej ogarnąć w pewną całość. Ale i monografie śp. Bronikowskiego i inż. F. Dziedzica o powiecie zawierciańsko-będzińskim i o wadowickim były świetne. Miały jednak pewną wadę. Pisane były jako monografie powiatów przeważnie z rolniczego punktu widzenia. Spraw związanych z historią powiatu, i jego zabytkami, etnografią, dotykały tylko marginesowo. Otóż twierdzę, że dobrze byłoby wznowić dobrą tradycję „Biblioteki Puławskiej" w zakresie opracowań monograficznych w odrodzonej po drugiej wojnie Rzeczpospolitej. Przecież każde dobrze prowadzące się przedsiębiorstwo na pierwszym planie swych ksiąg posiada inwenturę. Szereg takich monografii powiatowych byłby wprost bezcenną inwenturą Państwa i źródłem informacji dla przyszłych badaczy życia społecznego, gospodarczego, historyków, geografów i socjologów.

Tylko wziąwszy z „puławskiego" wzoru, (staranność opracowania naukowego) wskazanem byłoby rozszerzyć te opracowania, ogarniając powiat jako jednostkę badaną nie tylko z punktu widzenia rolniczego, ale możliwie wszechstronnie, sięgając zarazem w głąb — w przeszłość historyczną powiatu. Jakże wdzięczne pole pracy tego rodzaju badacz miałby na ziemiach zachodnich, jak może się czuć utwierdzony w swojej polskości Warmiak, mieszkaniec powiatu wrocławskiego, Piły, gdy się dowie w monografii swej okolicy, że Wrocław jest jednym z najstarszych grodów polskich, że takie chlubne nazwiska w kulturze polskiej jak Kopernik, Krasicki, Nowowiejski, Staszic z tych terenów pochodzili lub na tych terenach pracowali. Stwarza to poczucie łączności kulturalnej teraźniejszości z przeszłością, nawiązuje do starych tradycji. A kulturze nie sprzyja życie koczownicze bez tradycji, bez pawnego pietyzmu dla przeszłości.

Jak sobie w swej fantazji wyobrażam zrealizowanie takiej inwentury geograficzno-historyczno-gospodarczej? Sądzę, że w każdym powiecie może się znaleźć szczupły zespół ludzi, którzy potrzebę takiej monografii doceniają, oni właśnie mogliby stworzyć „komitet redakcyjny". Materialną stroną takiej imprezy może się zająć powiatowa rada narodowa. Nie powinno takie wydawnictwo być obliczone na zysk, ale na pewno nie przyniosłoby deficytu. Zyskiem tego wydawnictwa byłoby uświadomienie ludności o stanie geograficznym swego regionu. Wydawnictwo takie byłoby najlepszym, bo wszechstronnym informatorem dla turysty, dla pragnącego poznać teren handlowca i przemysłowca. Ale jedna uwaga. I tutaj potrzebna planowość. Wszak opis każdej miejscowości można ująć w pewien dość jednolity schemat. Schemat jest jakby ramą, która może być wypełniona treścią. Wcale by to nie uwłaczało samodzielności poszczególnych pracowników, gdyby zespół poważnych przedstawicieli nauki, historyków, przyrodników, rolników, geografów, ekonomistów, etnografów, socjologów, spółdzielców mógł być czynnikiem opiniodawczym i niejako protektorem takiego zbiorowego opisania kraju. Radbym był usłyszeć w tej materii jakiś odgłos od czytelników.

Piotr Stanisław Ziarnik

W I E R S Z E

Matka

Pamiątki dziecińśtwa przyśpieszyły kroku —
Za chwilę na powiekę zamkniętą siądą małe:
Matka za rękę wyprowadza je z mroku,
Opowiadając cicho — wieczornym całowaniem.

Topole strząsają szmer z liści niecierpliwych
Tak samo wysmukłe, wysokie i zgrabne,
Jak w wieczory dziecka — jakież wtedy dziwy
Nad wierzchołkami z chmur niedalekich kradłem

Niepewny chwil trwających w zbyt luźnych konturach.
Wtedy nie wiedziałem: czy szumiały drzewa,
Czy kształt wciąż od nowa formująca chmura,
Czy, gdym zasypiał — Matka podobnie dziś śpiewa.

Teraz mówi cicho — tak się żyta kołysały kłosy.
Na sztywnej słomie, za wysokiej dla malca.
Dopiero, gdy splątaną wyciągałem z pokosa,
Kłos wąsaty łamał się i kruszył w podrapanych
palcach.

Ojciec: dalekimi susami uciekał łuk płonący kosy
Zgrzytliwy zrazu, chrapliwy, a później szumiący,
Z chrzęstem zmieszany żyta. Dziś nie wiem, czy to
pokosy
Szumiały, czy kosa, czy wiatr przez palce strumieniem
gorącym.

Uskrzydlone słowami Matki wspomnienia sielskie
Zakryły oczy. Na ustach, w uszach mi rosną.
Mów, Matko! Ogród dziecińśtwa zarósł zielskiem
Nieodwiedzany. A Ty wskrzeszasz go i maisz, jak
wiosną.

Ojcowizna

We wsi mojej dom stoi mały i cichy
W sadzie, który majem zakwitał tak biało,
Jak zimą śnieżyca.
Mały dom tuż przy drodze i starych topolach,
Przelewających przez liście rzekę wiatru w kielichy
Przestrzeni — do upicia.

Obora stała naprzeciw nawozem pachnąca,
Rykiem krów i rżeniem koni budziła
Mnie co rano.
Obok kurnik wrzaskliwy jak rynek,
A za drogą stodoła ze starości trzeszcząca
I słomy pełna.

To moja zagroda, moja ojcowizna:
Kolebka chłopskich pokoleń,
Którem zdradził.
Do tej zagrody drogami idę dalekimi,
Ze świata, do którego nie mogłem się przyznać.
Czy tylko przyjmą mnie radzi?



Wyprawa

Noc była przyjaciółką, zdobytą wieczorem.
Księżyc czerwony na topole wpływał
I chmur dłonie powolne bawiły się księżycem,
Tasując ciemność, parującą z nad pola.

Przestrzenną kartę ciszy psy rozszczekane
Rwą w nagłe strzępy błyszczącymi kłami.
Przepiórka i derkacz wśród żyta się kłócą —
Strzępy ciszy są w nocy zupełnie małe.

Wykłosiony łan między wsiami jest jak morze:
Spokojnie rosnący z ziemi do nieba.
Przebiec go z karabinem krętą szparą ścieżki:
Dech zapiera! Zanim się księżyc z chmur wyorze!

W sadów wiśniową zapadli senność,
Że derkacza z przepiórką nie spłoszyli kłótni.
Dłonie chmur miedziak zgubiły księżyca,
Zgasły głosy. Noc się stała jak nowenna.

Szron ziębi, kiedy bosą nogą ognie depcą
Kwitnącej murawy, bez brzęku pryskające.
Aby się ciszą mogli zachwycać,
Na ziemię białą zeszły drzew ogromne czepce.

Wtedy. — Strzał w serce nocy fontanną wstał
do chmur
Nagły. Dłużej trwał w porażonym oku hukiem
Detonacji, wbitej w ziemię, jak nóż.
Głos wybiegły po rosie o którejś odległości załamał
się mur.

Ranione miejsce noc zwarła czatująca
Ciszą; głębszą niż szpara ścieżki w życie,
Po której przebrzmiał tętent bosych nóg —
Trącony kłos w chybocie wszystką rosę strząsnął.

Psi jazgot ku pierwszej odrzucił ich stodole,
Gdzie w zasiekach upał stęchlizną ściółki się upił.
Na klepisku w stertę siana, jak w łąkę legli
Zdyszani. Żaby się rozkumkały nad polem.

Moja droga

Nawę gotycką, wyrzeźbioną w drzewach
Środkiem wsi droga wywodzi w horyzont.
Idącego od zagród zielona odcina ulewa
Gałęzi i pnie, płotem zdające się z perspektywy.

Droga jest sztywna, żwirowa, lekko pobrużdżona,
O rowy krągło wsparta — murawą porosłe.
— Na przydróżki ciżba stóp codzień spada,
Jak liście jesienią, lub topolowe bazie na wiosnę.

Wszyscy wiedzą: z topoli opartych o niebo
Co roku nowe spadają bazie. nowe liście —
Nigdy nie za dużo i nigdy nie dość —
Wiatr je zdmuchuje, deszcz zmywa. I jest czysto.

Tak samo ślady stóp nikną i kół odciski,
Miejsce przygotowując dla nowych,
Które w pogodę z chat za rowem liczne
Wybiegną, że nie zliczy ich palec nocą księżycowy.

Tą drogą ileż przewędrowało chłopskich pokoleń,
Zapadłych na cmentarzu, zagubionych w czasie.
Ileż wycięto lip z nad rowu i ile topoli
Na domy nowe, stajnie i stodoły.

Kształt co roku inny mają drzew konary
Nad żwirem twardym. Inne stają domy.
Inni ludzie. Tylko drogi sztywny zarys
Został ten sam — stróż krokom niestrudzony.

Po niej, jak wszyscy, odchodziłem. — Po niej też
przychodzę.

Ją żegnam najtkliwiej i witam —
Do zagrody mojej prowadzi mnie prosta
Żółtym klinem i żwiru suchym zgrzytem.

Dla brata

Ty marzenia znasz rąk spoconych —
Lenistwo dłoni i palców,
Których poduszkami tęsknisz
Uparcie ciąg dalszy
Skiby, urwanej na zakręcie.

Ty w pióropuszu chodziłeś długo
Kurzawy, dymiącej z pod zębów brony;
Klekotem w warkocz rozpylonym
I drgawkami zahypnotyzowany sprzęgieł,
Bronować chciałeś przestrzeń — ocknąłeś na zakręcie.

Tobie styl samorodnie rosnący
Skrzydlatym odlotem pośpiesznie umyka —
Na nic ciągnąć pokos równo, uroczyście.
Ostatni brzęk go zgasił i ostatnie cięcie.

Umykały sny rękom twardym, jak lemiesz —
Kontemplacji wyrwane rozkołysanych mięśni,
Pod chrzęst kłosów wąsatych kładące się skwarnie.
Od nowa zaczynałeś z pługiem, kosą, pługiem —
Aż po spełnienie szukasz cmentarne.

Jan Marszałek

Zadania inteligencji wiejskiej

Na dwa lata mniejwięcej przed wojną byłem na pewnym zebraniu dyskusyjnym w jednej ze szkół rolniczych w powiecie łowickim. Wśród mnóstwa słów, uwag, oskarżeń i żądań jedno zwłaszcza utkwiło mi w pamięci, a to ze względu na jego absurdalność, jak mi się wtedy wydało.

Chodziło o stosunek chłopa do miasta, zwłaszcza grupy urzędniczej inteligencji.

Otóż jeden z dyskutantów, podkreśliwszy uprzednio w mocnych słowach nieżyczliwy stosunek „panów urzędników" do chłopa, do takich doszedł konkluzji:

— U nas musi być, tak jak w Danii: chłop idzie przed południem jako urzędnik do biura, a po południu pracuje na swoim kawałku ziemi.

Dla istoty zagadnienia nie jest ważne ile w tym jest prawdy czy fantazji. Ważny jest sam postulat polskiego chłopa, który nie chce być więcej grupą społecznie upośledzonych i lekceważonych, ale domaga się kategorycznie równouprawnienia z warstwą wysoko w jego świadomości postawioną, bo lepiej odeń sytuowaną grupą urzędniczą. Rozumie on swoją wartość i tym boleśniej odczuwa wszelką w stosunku do siebie niesprawiedliwość.

Nędza materialna szerokich rzesz chłopstwa w ciągu dziejów była przyczyną jego zacofania kulturalnego. co w konsekwencji dało podstawę innym grupom społecznym — nawet nie wiele lepiej, a często i gorzej sytuowanemu proletariatowi miejskiemu — do lekceważenia i poważania chłopa.

Przesądem było przekonanie, że chłop tylko do twardej pracy na roli stworzony („chamy do wideł i gnoju"), że nie wolno go zbytnio dopuszczać do oświaty, bo to w przyszłości niebezpieczny konkurent w ubieganiu się o lepiej płatne funkcje i stanowiska. Przesąd to już nie tyle śmieszny, co zbrodniczy, on to bowiem był ojcem rzezi galicyjskiej i biernego ustosunkowania się chłopów do powstań narodowych.

Znamienne jest, że nawet ci chłopi, którzy w jakikolwiek sposób przeszli do innych grup społecznych (inteligencja, handel, rzemiosło) ulegli na ogół tym samym przesądom i miast „dawać świadectwo prawdzie", że chłop bynajmniej nie jest gorszy czy to w handlu czy rzemiośle, czy w innych zawodach — skrzętnie zakrywają swoje pochodzenie.

Znam pewnego nauczyciela gimnazjalnego, który wstydził się, gdy do niego krewni ze wsi przyjeżdżali, nawet dosyć zamożni podobno gospodarze i pozbywał ich się czym prędzej, byle nie zastał ich u niego ktoś z „wyższej sfery" miasteczka.

Przez dłuższy czas byłem przekonany, że jeden z moich kolegów, z którym mieszkałem w internacie ma tylko matkę, bo przez cały czas, a znałem go dwa lata i żyliśmy dosyć ze sobą serdecznie, nie wspominał nawet o ojcu. „Miał" tylko matkę. Matka była nauczycielką, a ojciec gajowym w pańskim lesie.

Takie przykłady mnożyć można w nieskończoność. Prawda, że jednostka opuszczająca swoje środowisko traci doń swoje przystosowanie psychiczne. W toku studiów, czy w miarę angażowania się do innego rodzaju pracy nabywa całego szeregu odmiennych przyzwyczajeń kulturalnych, czy nawet moralno-obyczajowych.

Sam jednak fakt przejścia do innej grupy społecznej nie powinien pod żadnym pozorem usprawiedliwiać lekceważenia czy „wstydzenia" się poprzedniej.

Wprost przeciwnie.

Jeżeli ja, chłop z pochodzenia, dzięki osobistym zdolnościom mogłem przejść z niższego kręgu bytowania cywilizacyjnego do wyższego czy to jako lekarz, kupiec, nauczyciel czy rzemieślnik, to na jakiej zasadzie mogę przypuszczać, że grupa, z której się wywodzę, jest grupą ludzi gorszego gatunku? Przecież takich „wysferzonych" chłopów jest mnóstwo, od prostego robotnika łódzkiego, którego kołyska stała pod strzechą poczynając, aż do wybitnych osobistości świata nauki i sztuki.

Więc jednakże to nie gorszy gatunek, ale niezawodny rezerwuar nowych, a tak mało dotychczas wykorzystanych sił w narodzie.

I tu właśnie zaczynają się zadania inteligencji chłopskiej jako grupy społecznej.

Niektórzy chcieliby widzieć synów chłopskich po ukończonych studiach powracających na wieś, organizujących na wsi „nową jaśniejszą rzeczywistość".

Osobiście taki postulat wydaje mi się mocno nie przemyślany.

Możliwości pracy, w innych zawodach na wsi poza rolnictwem są tak minimalne, że prawie żadne. Poza tym wiadomo, że wieś jest przeludniona, że pięcio — czy sześcioosobowa rodzina z ledwością może powiązać koniec z końcem na swym kilkumorgowym gospodarstwie. Pocóż więc żądać powrotu na wieś od ludzi. którzy mają okazje ku temu, by podnieść stopę życiową swoją i swych najbliższych? Dobrobyt materialny jednostek, to dobrobyt społeczności i tylko on jest podstawowym warunkiem owej nowej „jaśniejsze rzeczywistości wsi".

Mamy pełne prawo żądać od nich, by właśnie na gruncie miejskim pracowali na wszelki możliwy sposób nad poddźwignięciem wsi zarówno materialnym, cywilizacyjnym jak i kulturalnym.

Bo pracować dla wsi można wszędzie: i w warsztacie rzemieślniczym i w gabinecie lekarskim i w laboratorium uczonego — zarówno w pracowni artysty jak i przy biurku literata czy publicysty.

Pomoc tego rodzaju mogłaby iść przez organizacje wiejskie już istniejące („Wici", Chł. T. P. D.), czy też inne, któreby dopiero przy ogólnym zrozumieniu sprawy wśród inteligencji pochodzenia chłopskiego trzeba było założyć.

W każdym razie organizacje takie przez szczególne podkreślanie ich chłopskiego charakteru i ich aktywność na terenie miast niewątpliwie przyczyniłyby się do likwidacji fałszywych, a tak jeszcze do dziś popularnych w mieście teorii o niższości chłopa polskiego. Zwłaszcza jeśli chodzi o związki artystów, literatów, muzyków, czy plastyków pochodzenia chłopskiego. Przez podkreślanie swych związków z wsią, przez pielęgnowanie talentów chłopskich, przez dawanie im okazji do startu artystycznego jak i przez popularyzowanie samorodnej, oryginalnej twórczości ludowej we wszystkich gałęziach sztuki, czy rzemiosła — oto zadania jakie otwierają się przed młodą inteligencją chłopską.

Niektóre z tych postulatów znajdują się już w studium realizacji: opieka nad dzieckiem wiejskim (Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci), popieranie talentów chłopskich (Oddział Wiejski ZZLP). praca kulturalno-samokształceniowa („Wici"). Chodzi jednak o to, by rozszerzyć zakres działania organizacyjnego i na inne bolączki chłopskiego życia, a przy tym przez odgrywanie przodującej roli w Państwie jako elita społeczna całego Narodu obalać niebezpieczny dla jedności narodowej mit o „gorszym gatunku" ludzi ze wsi.

Warunek jednak zasadniczy — to rezygnacja z asymilacji ze środowiskiem inteligenckim miejskim, wytworzenie sobie ideologicznej postawy wobec środowska rodzinnego chłopskiego, jak i w stosunku do innych grup społecznych, wytworzenie więzi organizacyjnej, łączącej ściśle intelektualistów pochodzenia chłopskiego ze wsią, a poprzez tę organizacje pomoc na wszelki możliwy sposób zarówno w zakresie podnoszenia godności ludzkiej chłopa jak i jego bytowania materialnego.

Stanisław Piętak

PARTYZANT I DZIEWCZYNA *)

CZĘŚĆ II.

I.

Lato w czwarty rok wojny było znojne, ogromne.
Szkliła się susza na polach ognikami słońca.
Trawy, zioła, pastwiska stały się zwiędłe i płonne,
błękit przykurzony rozprzestrzeniał się bez końca.
Topole w przydrożnym kurzu stały na zachodzie,
jak karawana. To tylko gwiazdy drgały gibkie.
Ptactwo przeciągle śpiewało co wieczór na wodzie.
Światło uchodziło zwolna, a wstawało szybkie.

Bydło rogami ryło kretowiska i osty.
Od stawów wiało tchem trupim i mulistą cieczą.
Chaty niskie, rozprażone jakby w ziemię wrosły,
niecąc ciszę w powietrzu monotonną i ciężką.
Konie wracały z pastwisk, zmęczone długim żarem.
Muchy tylko latały, radowały się w blasku.
Obłok jawił się na niebie, lecz smagany warem
znikał. I znów płynęły pola bezkresne, płaskie.

Nawet nocą późną niebo nie słało wilgoci.
Bydło stękało głucho i świerszcz usypiał zwolna.
Psy czarne, węsząc, czujnie wychodziły z zapłoci.
Grzmiał marsz Niemców, pędziła samolotów głownia...

II.

Ludzie zupełnie nie dawali temu wiary, co działo się na świecie
i żyli w jakimś dziwnym omroczeniu.
Tak oto — bo gdy nędza i rozpacz duszę ludzką gniecie,
człowiek oddaje się bezwolnie, jak kwiat, we władzę marzeniu...

III i IV.

Wyszedł w koszuli Lis Bartek z izby swojej i usiadł pod płotem.
Dwa koty milcząc, podeszły do niego, chodziły po piasku
sztywne, tajemnicze. Jaskółka śmigała i spiralnym lotem
poleciała, piszcząc, do niedalekiego, szpilkowego lasku.
Ruch nagle uczynił się wielki na drodze białej od kościoła,
bo wójt Goltz w mundurze partyjnym jechał na bryczce z żandarmami.
Chłopcy, dziewczęta, starzy, dzieci uciekali w zboża dokoła.
Lis naraz został sam na placu piaszczystym z śpiącymi gęsiami.

— Co tam, hej, słychać, przyjacielu, na świecie? Podniósł z kpiną głowę
i skinął na Jasia Kordiasa, by zatrzymał się koło niego.
Jaś przystanął, lecz nim otwarł usta, jego włosy jasnopłowe
poruszyły się zwolna nad czołem gładkim od wiatru lekkiego.
— Jak? Jak? Stary był głuchy srodze i przeto podniósł się na kiju,
by usłyszeć lepiej. Kogut żółty piał znów blisko, a prosięta,
które wybiegły od Dumy, zakwiczały, zaruszały szyją
i pędem runęły między białe, uciekające kurczęta.
Wątły obłok zawadzał o wieżę kościoła, znikał prawie.
Może i oczy przeto uciekały w siną, spokojną przestrzeń.
Kilku chłopców, goniąc psa między akacjami, nad małym stawem
zatrzymało się i podnosząc usta w górę, zaczęło wrzeszczeć...

— We Włoszech rewolucja trwa. Lud znowu objął władzę w kraju.
Słyszeliście, oni z Anglią i Ameryką zawarli pokój.
Zmiany idą poprzez światy całe. Niektórzy tak powiadają,
że wojna właśnie może się i skończyć już w tym obecnym roku.
— Lada dzień może? No, za miesiąc? Stary tylko trząsł głową głuchą.
— Ech, ech, ech — a to przyszła kryska na matyska na tego juchę.
Taki był samson Hitler, a jak byka zarżną... Chciał jeszcze dodać,
lecz Kordias już odbiegł od niego i stał z Marysią Kowalską.
Lśniła się tam u rozbiegu dróg i wierzb gładka, błękitna woda.
Przedzwaniano cicho w kościele niedalekim na Anioł Pański...

V.

— Nie mam czasu — rzekł Jaś. — Tyle spraw mam do załatwienia.
Chmurny, wrogi stał i nie patrzył jej zupełnie w oczy.
Ona zadrżała znagła — i z bladego jej spojrzenia
cień uleciał, jak gwiazda, ku niemu trwożny, mroczny.
— Mógłbyś nie kłamać. Czemu to czynisz ciągle, dlaczego?
Już nie idzie mi, że unikasz mnie jak zbeszczeszczonej,
ale byłeś przecie dla mnie przyjacielem, kolegą.
Chciałabym wiedzieć o co mnie tak przed tobą zelżono...?

— Ach, nie uciekaj, ja wcale nie myślę się zapierać.
Widywałam się z Golcem — odprowadzał mnie aż za Górę.
Ale bo przecież żałość i ból ogromny mnie zbiera,
kocham cię, a jestem dla ciebie niepotrzebnym wiórem...

Dręczysz mnie, dręczysz — w takim razie powiem ci wszystko.
Słuchaj, gdyby nie ja, byłbyś dawno uwięziony.
Wójt Golc na ciebie i na Stasia Bożka patrzy bystro.
Wie skąd przeciw Niemcom wicher wieje, z jakiej strony!...
Zresztą ja pracuję dla kraju jak ty, tak samo.
Że nie mam łączności z tobą — o, to nic nie znaczy.
Niejedne tajemnice przez moje ręce tu szły.
Powiem ci — znikły książki w gminie dzięki mej pracy...

VI.

Gwiazdy zeszły i wiatr lekki powiał z daleka.
Na wsi cichł gwar. Słychać było jadące wozy.
Nów miesiąca, jak okiść stężałego mleka
jaśniał w gałęziach — w złotej, świecącej obroży.
Od łąk zielonych powiało białą przestrzenią.
Drzewa zniżyły się, zdawały się rozmawiać.
Niebo lśniło chmurką, to gwiazdką, to zielenią.
Cienie po szumiącej wodzie jęły się słaniać.

VII.

— Marysiu! — krzyknął Jaś. — Wiem wszystko, a jednak mnie boli.
Nie umiem ja tak żyć, jak ty. Że on odwiedzał ciebie,
zdaję sobie sprawę — to wszystko przed oczyma stoi...
On albo ja może żyć tylko na ziemi i niebie ...

— Nie lżyj — rzekła cicho naraz, lecz z naciskiem Marysia.
— Kochaj... Wierz mi, nie mam nikogo aż po krańce świata
Szli — blask cienie ich po łące coraz to w dal wydłużał
i pod stopy ścielił się wonią szeleszczących kwiatów.
— Chciałabym zginąć — i niechby się wszystko zapadło.
Dosyć mam tego życia, wszystko jest takie szalone.
Pokazują na mnie palcami, jakby na dziwadło.
Mów, zaklinam cię, czy ja się tobie narzucam na żonę...?

— Cicho, nie o to idzie — szepnął Jaś, lecz już po chwili
nie wiedział co mówić. Pociągnął Marysię do przodu,
że potknęli się, mocno się z sobą dłońmi zczepili
i uwięzgli na skraju Kozdębowego ogrodu.

VIII.

— Tak, ja cierpię — mówiła Marysia w łkaniu.
Przez oczy jej leciał gwałtowny błysk jasności.
Jasiowi już ciężko było słuchać płakania,
więc klął się, że kocha ją bardzo na świętości.
Po chwili już z sobą byli pogodzeni.
Renety za płotem lśniły w ciemnym sadzie —
i wraz z zapachami świeżymi, czystymi
czuć było, jak księżyc na oczy się kładzie.
— Podrap mnie tu — tu mnie tak strasznie coś boli —
szepnęła Marysia, dłoń gięła do serca.
— Pewnie umrę. Łzy moje z krwi są i soli,
a ty nie patrzysz w nie. Tyś ciągle oszczerca...

IX.

Poniosły się nad nimi nocy gaje.
Ach, zasłuchała się gdzieś cisza w górze.
U stawu, gdzie bladły szeptów wyraje,
księżyc z gwiazdą wisiał na złotym sznurze.
Nawet wierzby białe usnęły zwolna.
Roztapiała się w szum mgła lekka wszędzie.
Płynęła nieprzemierzona dal polna,
oczy ros siadały na kwiatów grzędzie.

CZĘŚĆ III.

I.

Brzozy przydrożne, białe jakby w czas potopu
chyliły się w deszczu, chwytały się za ręce.
Z rowów mgły, jam czarnych i urwistych przekopów
smutne krainy powstawały w męce.

II.

Bryczka Jasia pędziła po szosie jak szalona.
Rżał koń i skakał, szczękały resory cicho.
Widać drzew nagie, w niebo rozpięte ramiona.
Nagle bryznęło jednak światło i gwałtowne
kule posypały się obok po resorach.
Jaś skoczył, ale już koń padał z niewymownym
jękiem na dyszel i krwią zabłysła brzóz kora.

Zdołał paść do rowu i wydobył pepeszę.
Żandarmów było trzech, otaczali go kołem.
Dał się im zbliżyć w światłach, wcale się nie śpieszył
lecz wtem zasypał ich kulami jak popiołem.
Jeden z żandarmów krzyknął i odrazu na ziemię
upadł. Inni śpiesznie cofnęli się za drzewa.
Biegnąc co sił i padając w rowu cienie,
Jaś strzelał wciąż, aż przepadł w lasu trzewiach!..

III.

Był późny wieczór, kiedy Jaś udał się do Marysi.
Miał nocą uciec ze wsi, więc chciał ją jeszcze zobaczyć.
Wciąż nie wierzył jej słowom, cierpiał i walczył ze sobą.
Uczucia sprzeczne darły mu myśl nakształt rozżarzonej racy.

Nie zastał Marysi, stary Kowalski z miną trwożną
chodził po izbie, zagadywał półgębkiem o świecie.
Kowalska stara miała minę chytrą, choć nabożną.
— No — rzekła — powiedz, co tam słychać — wy ta więcej wiecie.
Rzekł im o kapitulacji Włoch, nie zrozumieli tego.
Oczy ich myślami innymi były przesłonięte.
Mówili, lecz nie zdawali sobie sprawy z wszystkiego.
Dusze ich ze starości były dla świata zamknięte.

— Hej, ale przecie ten niemiecki Hitler wie, co robi.
On ta niejednego margrafę wyprowadził w pole —
zawołał Kowalski i w te razy skulił się w sobie.
Mucha latała, latała i zatrzymała się na jego czole.
Na głos Jasia, że Hitler na krzywdzie narodów żyje —
stary zląkł się, ale i tak wrócił do swojej mowy.

— No — wołał — no, no, on nie na to leży, je i pije,
by nie miał rozumu. Strzeże mocno swojej chudoby.
Hm, hm, widziałem go w gazecie, pan to całą gębą.
Rozweselił się naraz i biec zaczął wedle stołu.
— Mówię ci, Dorotka, myślę tak — nie miał złotych zębów,
ale kark i tak tłusty, jak u starego wołu!...

Kowalska przytakiwała i wciąż patrzyła na strony.
Gawędzili tak długo — ciemność huczała za drzwiami.
Gdyby wzrok mógł być jak w światłość w górę uniesiony,
to by ujrzał Marysię powracającą polami.

IV.

Weszła do izby chmurna, pełna głębokiej zadumy.
Przywitała się z Jasiem i zaraz wyszła do kuchni.
Starzy mieli obecnie twarze jak z szczerniałej gumy.
Siedzieli, nie zważając już na nic, bladzi i smutni.
— Pogoda dziś straszna, przemokłaś chyba na tym wietrze —
rzekł Jaś, wchodząc za nią do kuchni i usiadł na ławie.
Ona zdejmowała kostium i nie spojrzała jeszcze,
oczy jej były przymglone wzruszeniem, dumne prawie.

— Mam ci powiedzieć — rzekła szeptem — coś bardzo ważnego.
— Wczoraj nie wiedziałam jeszcze, ale dziś wiem napewno.
Jestem w ciąży od trzech miesięcy, a z tego wszystkiego
mój Boże wielki, przecież tylko na świecie jest jedno.

Jaś zbladł gwałtownie i długo nie powiedział słowa.
— Słuchaj — zaczął wreszcie twardo — nie chciałbym ciebie skrzywdzić,
ale to wszak nie myśl moja będzie i nie nowa.
Nie raz chodziłaś z Golcem, którego ja nienawidzę!...
Skąd ja mogę mieć pewność silną, że to moje dziecko.
Nie. O, nie. Nie mogę ci uwierzyć ani na chwilę,
oszukiwałaś mnie nie raz nie dwa tak zdradziecko,
ani posunięć twoich nazwać się nie silę!...

Na wargi wyszły mu słowa mściwe i podszedł ku niej.
Ona cofnęła się, lecz podjęła jego wzrok hardo.
Wkońcu zaś oparta o stół, sprostowała się dumnie
i miała w oczach spokój smutny, jak ci, co gardzą.

— Ciszej, przestań mówić, matka moja tam nasłuchuje.
Potem nie będzie mogła spać, kiedy dowie się wszystko.
Czy myślisz, że jedynie taki człowiek, jak ty, czuje!..
Są i inni. Szeptała i podobna była listkom
takim, co to trzepocą w ciszy i blade są od skwaru...
— Jeśli chcesz zerwać ze mną, czyń to jak najprędzej —
dodała głośniej. — Wiedz tylko, że od lat dobrych paru
łączyło mnie życie jedno z tobą. Namyśl się, czy to nie wiąże?...
— Daj mi się opamiętać, w głowie mi się rzecz nie mieści —
wyrzekł Jaś. — Och, żem kochał cię, przeklinam z całej duszy.
Ja, którym żył z tobą, nie byłem w twoich myślach pierwszy.
Każdy mężczyzna czucia twe do dna serca poruszył.
Byłaś, alem ja nie panował nad twymi myślami.
Spojrzenie twe było dla mnie niezrozumiałe, ciemne.
Gdym oto i stał chwile całe przed twoimi oczami,
czułem i tak, że tobą rządzą siły skryte, zmienne.
O, niech będzie przeklęte to wszystko szalone! W tobie
jest piekło myśli, których ja nigdy nie zrozumiem!

Marysia zachwiała się, bo on nagle zbiegł, znikł za drzwiami.
Daleko, daleko, na drodze zabrzmiały jego kroki.
Stanąwszy bez ruchu, zadrżała szarpnięta myślami.

*) Patrz początek: „Wieś" nr. 41(69).

Teodor Goździkiewicz

„R Y S A"

ilustr St. Cieloch

PO GODZINIE jazdy doktór stwierdził z przerażeniem, że jego kolana doszły do poziomu brody. Wpadł dosłownie w środek chłopskiego siedzenia ze słomy. Wózek postukiwał o kamienie skryte pod rozmoczonym piaskiem, a najgłośniej chlupały końskie nogi brodząc kałużę po kałuży. Deszcz padał — a właściwie siąpił gęsto, nudnie, jakby na złość — bez przerwy całą drogę.

Wjechali w wieś.



— No, przynajmniej jakaś zmiana, — pomyślał doktór, któremu już zbrzydło puste, ograbione z płodów pole omokłe szarzejące płatami po obu stronach drogi. Rachityczne, rzadkie topole niezdarnie tkwiące nad rowem nie mogły być brane w rachubę. Tak go już ta jazda zmęczyła, że opuścił parasol zupełnie na głowę, aby nic nie widzieć. Byłby zadrzemał, żeby miał jako tako wygodnie. Ale mowy o tym być nie mogło.

Z parasola, z jego rogów zakończonych celuloidowymi ochraniaczami leciała woda i wsiąkała w deszczówkę. Doktór obserwował, jak w jedno miejsce na lewym rękawie padały szeregi białosinych kropel: jedna za drugą, jedna za drugą i w momencie zderzenia z mokrą powierzchnią płaszcza rozpryskiwały się na około. Chwilę widać było plamkę wody, a potem ginęły w porach sukna.

— Oto istoty — myślał filozoficznie lekarz — tworzą się bez swej woli, bez jakiegokolwiek bądź udziału, siłą przypadku lecą bez celu i giną. Na co? Po co? Komu potrzebne? Nie zostanie po nich nic. Wylecą nawet z jego pamięci jutro. Co mówi! — nawet dziś przyciśnie je każde silniejsze następne wrażenie. Gdzie tu sens? Gdzie jakakolwiek logika? Między zakończeniem parasola a powierzchnią jego płaszcza mieściło się ich istnienie. Przelatując tę przestrzeń — istniały. Otarły się o pewną ilość cząstek powietrza i przepadły. Bez żadnego znaku, bez śladu żadnego: na sobie i na otoczeniu.

Uczuł w ustach pewien kwaśny smak. Rezultat długiego milczenia.

— Usta się nie wentylują i wytwarzają się dogodne warunki nadmiernego rozwoju procesów gnilnych — utrzymywał sam wobec siebie, — bakterie rosną milionami. Niech cię diabli!...

— Daleko to tam jeszcze?

— Nie, niedaleko — odburknął małomówny furman, z którym lekarz pragnął z początku nawiązać rozmowę — bezskutecznie. I nic. Ani słowa więcej.

Mimo woli w pewnym momencie kaptur parasola podniósł się wyżej i doktór w jednym rzucie oka potwierdzał tożsamość i niezmienność pierwotnego widoku — jego vis a vis. Zgniłozielony, wyburzały płaszcz żołnierski, jakaś nielegalna pewnie pozostałość z wojska. Przez środek pleców od wywiniętego ku górze, przepoconego kołnierza aż do podgięcia na siedzeniu (w ludzkim i wozowym tego słowa znaczeniu) szedł podwójny wyraźny szew. W pewnym miejscu, mniej więcej na środku pleców, szew ten się krzywił, lekko zresztą, w lewą stronę.

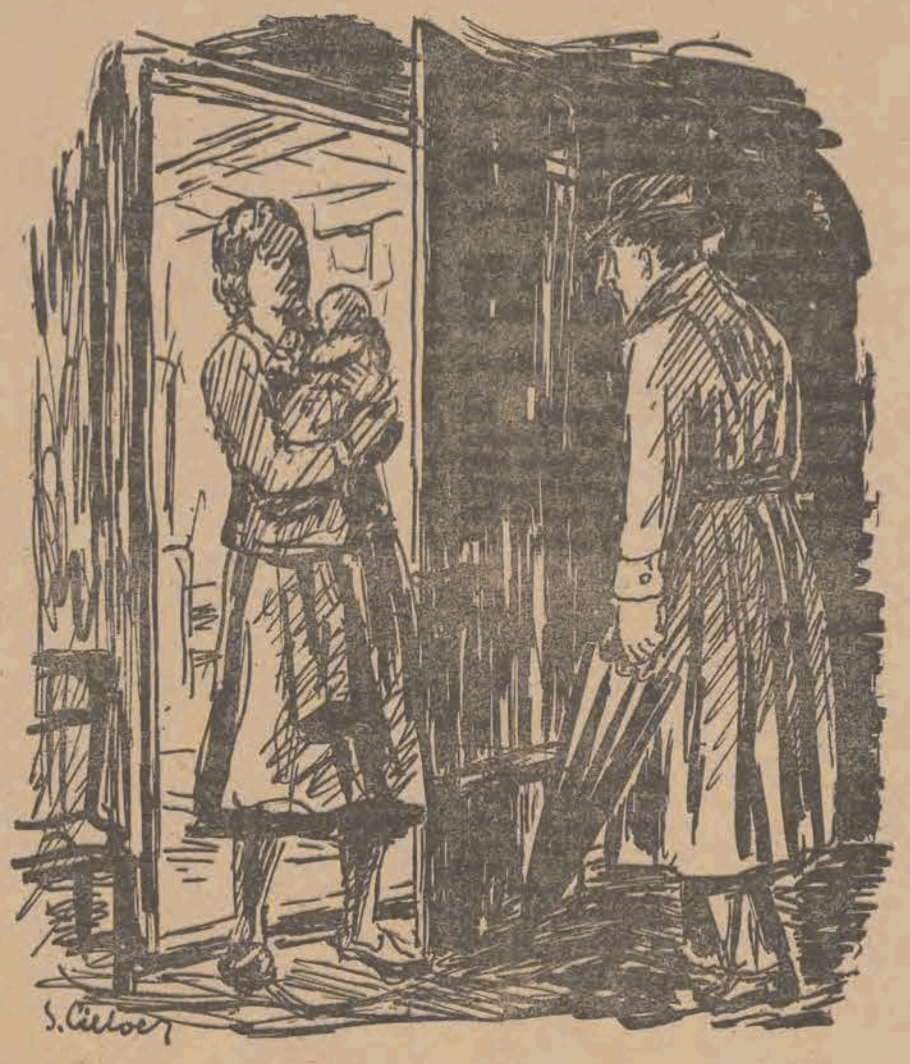
— Ach to—to, utwierdził się w przypuszczeniu lekarz widząc pod lewą pachą dużą, mocno naszytą łatę.

Wobec braku jakiejkolwiek strawy myślowej doktór ogromnie się tą łatą zainteresował. Co za przyczyna? Co mu tam mogło okrycie rozedrzeć? W tym miejscu? W ramach jego praktycznych wiadomości o życiu mieścił się i ten szczegół — wiedział, gdzie najpierw przedzierają się części ludzkiego odzienia. Ale tu? — pod pachą? Byłby się zapytał niewątpliwie, ale mrukliwość woźnicy odstraszała go. Bał się wzbudzić w nim myśli — też ci doktór, o takie głupstwo się pyta!...

Akuratnie wytarta, całkowicie zdefasonowana i na grunt zmoknięta pstra cyklistówka, wbita głęboko na głowę i złączona z kołnierzem przez odpowiedni skurcz ciała — dopełniała całkowitego obrazu z przeciwka. Doktór zakrył się parasolem i starał się tam nie patrzyć. Widział to zresztą z dziesięć razy. A może więcej — może mniej. Nie mógłby określić, bo przyszła na niego chwila takiego jakiegoś otępienia myślowego, że stało mu to wciąż w pamięci i nie miał siły (czy nie chciał) otrząsnąć się.

Całe szczęście, że ta wieś. Wóz tylko więcej skakał i przycinał brodę doktora do jego doktorowych kolan. Nie chciało mu się prostować. Omókł, zesztywniał i przeziąbł trochę. Powietrze było chłodne i wilgotne. Ale tu za domami było ciszej. Wiatr już tak nie rzucał. Deszcz padał więcej z góry. Lekarz sprostował parasol i uniósł go wyżej. Przy płaskiej, rozmokłej drodze stały brązowe, opalone przez słońce drewniane chałupy. Pojedyńczymi oknami w szczycie patrzały na przeciwległe pola. Dzieci widać nie było. Tu i ówdzie ktoś stał: pod dachem dwu podmokłych chłopów skręcało papierosa, na ganku jeden strugał scyzorykiem dzierżak do cepów, dziewczyny w jednym miejscu w głębi sieni łuskały groch.

Wszystko to podnosiło zdziwione oczy na furmankę i obcego człowieka. Z głębi podwórz, gdzieś spod szop czy ustronnych okapów dolatywało zajadłe, urywane trzaskanie łamków i cierlic. Kobiety pracowały nad lnem. Doskonale znał te głosy — doskonale. Na tkankach subtelnej pamięci rzeźbiła to młodość, patrzyły oczy chłonne, niezepsute, dziecięce. W brudnej wodzie kałuż raczyły się niewielkie stadka omokłych podskubanych gęsi. Na uklepanej, spadzistej ścieżce walały się nadgryzione, wilgotne jabłka.



Mijali dom za domem, prawie równe i prawie jednakowe w kształcie i w kolorze. Aż w pewnym miejscu domy się urwały i na pustej przestrzeni stał samotny budynek. Właściwie siedział, a właściwie leżał. Było coś w kształcie jego dachu i coś w formie i wyglądzie ścian, że mimowoli przychodziło na myśl, iż ten dom gnije. Gniją, rozpadają się przyciesie, obniżają się ściany, obniża, wygina i załamuje się dach. Biel ścian omokła i zszarzała. Gonty na dachu uzyskały patynę dziesiątków lat: okrył je drobny, gęsty mech, narzucający całej jego postaci zielony, żywy kolor.

— O to tu! — padła skąpa informacja poparta wyciągniętą z batem prawą ręką.

Przed domem stał pojedynek kasztan. Jesień go już dobrze poszczerbiła. Płaty żółtojasnego listowia wyglądały jak kolorowe dziury w szarej, zamazanej zieleni. Wiał w niego zachodni mokry wiatr i kiwające się gałęzie kłoniły się ku dołowi. Wierzchołka nie było. Jakaś siła kataklizmowa w pewnym czasie jego żywota pozbyła go tej części i kasztanowiec podobny był do szerokiej pstrej patery na brązowej nodze.

Wóz się zatrzymał. Doktór rzucił na dom badawczym okiem: nad okoślawiałymi, wygiętymi trochę drzwiami widać było szyld. Jakaś tam i gdzieś tam, taka i taka szkoła. Z ludzi nikogo. Cztery okna z frontu, puste jakieś, ciemnoszybe, omoczone, miały w sobie coś niegościnnego.

— Poczekacie? — rzucił chłopu pytanie obserwując jednocześnie z ubocza fakt, że kora na owym kasztanie nasuwała gwałtem myśl, żeby to drzewo nazwać nieszczęśliwym: była poryta, posiekana, zbliznowana, porznięta, pokaleczona, strupowata i owrzodzona jakiemiś naroślami broniącego się przed śmiercią organizmu.

— E nie, to ta już inna podwoda odwiezie. Sołtys wyznaczy... — dodał zachęcająco już po cmoknięciu na konia.

Doktór po ubitym piasku doszedł do frontowych drzwi. Były zamknięte. Wobec tego skierował się ku tamtej stronie domu. Minął ogrodzenie z kolczastego drutu uwiązanego prymitywnie do wbitych w ziemię topolowych gałęzi i znalazł się na tle budynku.

Rósł tu cały las słoneczników. Spojrzały mu w oczy pyzate tarcze — szare, czarne, niektóre z obrębkami resztek korony jak ze stroidłem u rannego czepka babek. Jednocześnie gdzieś spod nóg, ze ścieżki między słonecznikami, z traw, z pomiędzy łodyg zerwało się całe stado gołębi i z klaskaniem, furkotem omoczonych, ciężkich skrzydeł usiadło na zielonym dachu. Było tego kilkadziesiąt sztuk — cała mieszanina kolorów, kształtów i wielkości.

Kiedy minął okno pełne jaskrawo rozkwitniętego zwykłego chłopskiego „ziela", usłyszał jakby mały ruch: widocznie nie spodziewano się go jeszcze. Wszedł do sieni. Na lewo we drzwiach stała już kobieta z dzieckiem na ręku. Uśmiechała się niezdecydowanie. Płaszcz zrzucił w sieni, pustej, wymiecionej uroczyście i posypanej żółtym piaskiem.

Wszedł do mieszkania. Kształty ścian i charakterystyczny zaduch utrwalił w nim poprzednie zdanie, że dom ten gnije. Zapada się. Usiadł i poprosił o miednicę z ciepłą wodą. Nie patrzył nigdzie. Jakby się bał. Jakby się wstydził. A jednocześnie jakąś znikomą cząstką mózgu myślał:

— Proszę, co za zbieg okoliczności!...

I zerknął niepostrzeżenie na chorego. Na białym płótnie poduszki spod równie białej kołdry wyglądała czarna głowa z sinoszarą twarzą. Oczy były gorejące, ale chory nie patrzył na niego, jakby doktora nie widział.

A ten znów myślał:

— Już wiem, już wiem, co to będzie...

Nie badając wiedział, nie przymuszając się czuł pewne prawdy, które koło niego jawiły się oczywiste, namacalne i jakby żenujące. Doktór zrobił kilka kroków po mieszkaniu niby dla rozprostowania nóg, a właściwie dla zatarcia wrażenia niespodzianki i przez cały czas odczytywał podświadomością utkwione w niego z kąta oczy duże, gorejące, pilne i badawcze. Obaj jednak byli spokojni, dalecy niby i obojętni.

Kobieta posadziła dziecko na krześle i nastawiła maszynkę, która stała na kuchni. Doktór w szumie płonącej nafty zaczął porządkować myśli. Zaczął się „zbierać".

— Jestem wezwany do nauczyciela, do chorego nauczyciela, przywiozła mnie podwoda, zmokłem, zmarzłem i ścierpłem. Mam postawić diagnozę. Mam orzec, czy pacjent zasługuje na urlop dla poratowania zdrowia...

Spojrzał niepozornie na dziecko. Siedziało na krześle jak trusia. Białe, splątane włosy. Patrzyło na niego przez palce, bowiem jedno oko zakryło jedną — lewą rączką, a drugie — prawą. Dłońmi na zewnątrz. Chabrowe źrenice błyszczały w szparach między palcami. Lekarzowi, nie wiadomo dlaczego, przypomniała się jedna zwrotka własnego jego wiersza, kiedy tym kiedyś tam grzeszył:

„Zdaje mi się, że pachniesz zielem
letniego, rozkwitniętego ogrodu,
kiedy ci oczy błyszczą weselem
i niewymuszoną, pełną zgody swobodą,
a ja, że jestem małym i ciekawym dzieckiem,
które na ciebie patrzy skrycie zza płotu deski".

Coś po nim przewiało jak uśmiech, jak daleki błysk słońca, który zgasł. To dziecko właśnie, to dziecko... za deską z oczyma wpitymi w ogród... Doktór już-już był bliski rozczulenia, ale oto znalazł się wobec czynności konkretnych. Woda była, maszynka ucichła. Umył ręce — zrobiło mu się cieplej. Wyjął z kieszeni termometr, słuchawki. Podszedł do łóżka. Przysunęła się kobieta z dzieckiem na ręku. Patrzył teraz, teraz dopiero patrzył.

— Tak, tak... tak, tak — żuł to beztreściwe słowo na głos, z fachowego nawyku, płyciutko zupełnie i bez żadnego odczucia, podczas kiedy myślał — no tak zgadłem, oczywiście... jakżeby, nauczycielska choroba... tak, tak!

Odsunął kołdrę, odsunął koszulę: skóra była opięta na kościach jakimś obrzydliwym zwisem. Na piersiach tak samo, jak na plecach. Doktór suwał słuchawki po chorym i mlamlał swoje głupie: tak — tak...

Wyjął słuchawki z uszu, założył termometr i raptem zwrócił się do kobiety:

— Żona? dziecko?

— Tak — przytwierdziła to ruchem brwi i skinieniem głowy.

— Dawno? — poruszył głową w stronę chorego. Ale ten nie mógł mówić i przez całą długość łóżka spojrzał prosząco na kobietę.

Zaczęła mówić. Mąż jeszcze zeszłego roku na jesieni czuł się źle. Pokasływał, kłuło go w boku, skarżył się, ale na to nie zwracało się uwagi. Ani on, ani ona. On był zapracowany w szkole, ze starszymi po nocach i wieczorach. Ona miała to dziecko. I dom. Tak jakoś dokołatał się do września. Ostrzegała, ale nie sądził, żeby to coś poważnego, młody był, nie wierzył w chorobę. Jak on, doktór, sądzi — może to suchoty?... Bo to mieszkanie stare, trochę wilgotne.

— Trzeba panu doktorowi wiedzieć, że my w kozie mieszkamy...

— Jak to w kozie? — zdziwił się.

— A w kozie. W dawnej gminnej kozie. Bo to był urząd gminny. Teraz jest szkoła. Tam przez ścianę była kancelaria, a tu areszt. O, jakie małe okienko, a to specjalnie wycięli dla nas.

— No a tamta połowa?

— A w jednej jest biblioteka wiejska i czytelnia, od tamtej strony od drogi, a tu na przeciwko przez sień mieści się muzeum...

— Co?

— Muzeum. Tutaj ludzie powyorywali i powykopywali różne rzeczy, to mąż to zebrał i poustawiał. On to wszystko pozakładał i prowadzi, bo trzeba panu doktorowi wiedzieć, że on jest wielki społecznik... Pewnie z tego zachorował... z przepracowania — pośpiesznie się poprawiła.

— Pani nauczycielką nie jest?

Potrząsnęła przecząco głową.

Wyjął termometr, spojrzał i znów cisnęły mu się na wargi owe idiotyczne, niepozbyte: tak — tak — tak!... Chory miał oczy zamknięte i po brwiach latała mu jakaś chmurka niezadowolenia, jakby go krępowała gadatliwość żony. Coś skubał niewidocznego palcami po kołdrze.

— Jak dawno mąż tu pracuje?

— Piąty rok.

Nie wiedział, co robić właściwie wiedząc wszystko. Patrzył po mieszkaniu. W jednym kącie stało jedno żelazne łóżko, w drugim — drugie. Były niejednakowe, widocznie w różnym czasie kupowane. Stół niewielki, nakryty ceratą. Kosz przy łóżku jak na straży. Na ścianie przykryte dużym arkuszem szarego papieru wisiało ubranie. Na dużym wiejskim kominie pod kapturem stała wypolerowana maszynka naftowa. Na ścianie fotografie. Tuż zaraz przy nim wisiała jedna. Pole szare, rozległe. Stoi na nim drabiniasty wóz zaprzężony w parę łysych koni. Na wozie między drabinami kilka osób. Gdzieś od tyłu ktoś stoi w wielkim słomianym kapeluszu „własnej roboty". Widać tylko spod pofalowanego ronda rząd białych zębów. Śmieje się. Czyżby to on? Czyżby? Skądże ten drabiniasty wóz? Urlop może jaki albo kolonie?

Doktór zamyślił się.

* * *

Poczuł w sobie jakiś męt. Coś go nieprzyjemnie gnębiło w samym środku jego własnej istoty. Tym bardziej, kiedy musiał udawać, że wszystko jest mu obce i wszystko — jedno. Jakiś daleki wstyd. Jakiś bezbarwny wyrzut: co to takiego? Trzymał się jednak twardo: był spokojny, opanowany. Mówił głosem wysokim, zlekka mentorskim.

Prawdziwie przecież znał tego chorego. Znał go nawet nieźle. Czasy niby to odległe, niby nieobowiązujące, ale przecież... Pamięta, że był to wieczny stypendysta i korepetytor. Młodszy o jedną klasę od doktora miał w gimnazjum opinię nielada nędzarza. Mieszkał w mieście. Matka jego była praczką, piorącą po domach. Ojciec... — właśnie o tym ojcu jego mówiono różne niestworzone rzeczy. Oto — że nie było go wcale. Czy tak było istotnie, doktór przecież nigdy nie sprawdzał, ani się

przekonywał. Przyjmował to, co mu fama niosła i to mu wystarczało.

Zawsze był nieostrzyżony, zawsze w tandetnym, wytartym garniturze. Tyle, że postępy niejakie w nauce trzymały koło niego pewnych uczniów. Śmietanka klasowa (doktór, syn zamożnego chłopa, zaliczał się do tej sociéty, która korzeniami mocno siedziała w ziemi): eleganciki, „maminsynki" czy miejskie czy wiejskie, jednakowo od niego stroniły. Na pauzach w korytarzu najczęściej trzymał się sam. Na zabawach, w teatrach, na różnych wieczorkach i festynach nie bywał. Nie tyle z zasady, ile dla braku odpowiedniego ubrania.

Spotykali się poza tym — przymusowo — na zebraniach kółka historycznego. Nauczyciel - historyk, dobroduszna, za ciemne okulary schowana fujara, nabita datami historycznymi jak nabój dynamitem — przychodził zawsze na te popołudniowe zebrania z kwadransowym opóźnieniem i trąc nos nerwowo, prychając i kichając (miał bowiem chroniczny katar) mówił podniebiennie:

— Przepraszam was, panowie, za opóźnienie, ale... — i tu czy naprawdę czy umyślnie nawiedzał go paroksyzm kichania i stąd katar zwalniał go z obowiązku ujawniania przyczyny tego spóźnienia.

Na tych zebraniach w gronie dwudziestu kilku gimnazjastów i nauczyciela wysłuchiwał referatów i dyskusji. Ale było najczęściej tak, że referat zawsze prawie wklejano dzisiejszemu choremu, a reszta ograniczała swój udział w pracy wyłącznie do dyskusji.

Nieraz nie mówił nic, nieraz się bronił, nieraz wyraźnie nie chciał, ale się na nim w ostateczności skrupiało. Nauczyciel nie ingerował. Wolał, żeby on tej pracy się podjął, gdyż był pewien, że wykona to możliwie solidnie.

I tak było. Nie chciał, ale kiedy musiał, opracowywał rzecz starannie, wyczerpująco. Uciekał się zawsze do wszelkich znanych rozpraw i tekstów źródłowych. Pokpiwano z niego, ale wobec faktu górowania potrosze i zazdroszczono, że jednak tak może. Bądź co bądź.

Dzisiejszy doktór, a ówczesny sztubak ósmej klasy, szczerze go nie lubił. Za co? Dlaczego? Było to jakieś instynktowne, u korzeni podświadomości zaryte uprzedzenie. Po prostu czuł nieraz odrazę — do tych jego obgryzionych paznogci, do tych zdeptanych obcasów — do wszystkiego.

— Dzika świnia — mówił nieozdobnie.

Na jednym z takich zebrań, kiedy mu chcieli jak zwykle wkleić jakiś referat o źródłach czartyzmu, oparł się i wykazał niespotykany opór. Jednym z goręcej przekonywujących, żeby on ten referat wziął, był doktór. Przekonywał bardzo zdecydowanie powodowany jakąś diabelską złośliwością. Wtedy on, ten dzisiejszy cherlak zapytał:

— A dlaczego to kolega nie może tego referatu opracować?

— Nie uważam za stosowne przed panem się tłumaczyć...

Wywołało to powszechną konsternację. Ten ton, ten głos, ta odpowiedź. Co za dystynkcja, co za buta! I pycha, i próżność. Ale doktór przegrał. Coś się obudziło w nauczycielu. Przekazał opracowanie referatu doktorowi.

I od tego momentu właśnie rozpoczęła się wspólna, wzajemna nienawiść. Nie widywali się nigdzie, nie widzieli się zawsze: choćby siedzieli w sali obok siebie, choćby się otarli mimo na korytarzu.

Ten stan cichej walki i wzajemnego upartego ignorowania trwał przez cały prawie rok od jesieni do wiosny.

Wtedy bowiem nastąpił wybuch numer dwa... Sfery opiekuńcze szkoły w słusznej trosce o zdrowie ciała wychowanków zorganizowały drugie śniadania dla uczniów w szkole. Śniadania były płatne doraźnie i kupowane. Inaczej — kto miał pieniądze, płacił bezpośrednio, a kogo nie było stać na trzydzieści groszy, ten brał kupon z samopomocy koleżeńskiej i na jego podstawie otrzymywał z kuchni bezpłatne śniadanie, które pokrywane było z funduszów składkowych rodziców, społeczeństwa.

Całe to przedsięwzięcie oddane było do obsłużenia samorządowi uczniowskiemu. Nadszedł taki wypadek, że wydawcą kuponów został doktór. Oczywiście, wydawał owe kwitki obojętnie, fachowo. Ale do pewnego czasu. Po kilku bowiem dniach, kiedy tylko w drzwiach pokoiku ukazała się nieogolona twarz antypatii, doktora mierziło coś nieznanego. Bladł i czerwienił się. Ogarniała go taka irytacja, że zgrzytał zębami. Brał kupon i nie patrząc na klijenta kładł go na stoliku, jakby się obawiał przypadkowego zetknięcia z jego ręką. Tak było dzień dnia. Aż i tamtemu dojadło.

Mówi raz:

— Kolega, widzę, mi łaskę wielką robi... — wycedził.

— Brać i iść! — margnął doktór.

— Jak będę chciał...

— Brać i iść!

— Jak będę chciał...

— Musisz, dziadu!

— Cham!... — strzelił krótko, gorąco a cicho.

Skoczył doktór zza stolika jak spuszczony ze sprężyny, ale co było robić? bić się? — awanturować? za co? czy warto? Wstrzymała go nagła refleksja. Tym bardziej, że we drzwi wpadła jednocześnie paczka jakichś młodszoklasistów. I tak zostało.

Matura i uroczyste zakończenie roku szkolnego nie przyniosło żadnej zmiany. Potem doktór wyjechał na studia medyczne. Już po dłuższym okresie czasu podczas luźnego kontaktu ze szkołą dowiedział się, że jego antagonista, zgnieciony całkowicie niedostatkiem po ukończeniu gimnazjum został nauczycielem wiejskim, jako że rynek państwowych warunków był na ten materiał szczególnie chłonny. Potem jeszcze, jeszcze później plotka głosiła, że ożenił się z jakąś ubogą do cna dziewczyną i na wsi biedę klepie.

Kiedy doktór osiadł w tym mieście, widywał go nie raz na ulicy. Nie poznawali się oczywiście. Przechodzili koło siebie spokojnie, obojętnie. Wzorowiej nawet niż wówczas, kiedyś na korytarzu.

Wyjeżdżając dziś na wieś, ani się spodziewał, że to właśnie do niego. A to on. I w takich warunkach. Kiedy patrzył po chorym, po nielicznych sprzętach w domu, zdawało mu się, że tamte rzeczy nie istniały. Widziały mu się tylko jakby jakieś reminiscencje blade z książki dawno przeczytanej zapożyczone. Nie wierzył sobie, nie wierzył własnej pamięci. Tamto to jakby było coś zupełnie innego. I to jest całkiem inne. Nie ma między jednym a drugim żadnego związku. Być nie może. Życie człowieka nie jest ciągłością. Jest ono sumą różnych składników. Są to etapy rozdzielne i niejednakowe. Łączy je tylko widz ten sam, obserwujący bez przerwy ich przepływ i zamianę.

* * *

— Pani nie wie, jak z furmanką?

— Ach, zaraz — trzeba do sołtysa... Chwileczkę, panie doktorze, pójdę do sąsiada poprosić... — naokryła dziecko chustką i wyszła. Lekarz podążył za nią do sieni.

— Mąż pani [illegible] ciężko chory... niestety, gruźlica. Trzeba go zabrać do szpitala. Tu nie może leżeć — pani rozumie. Ciasno... dziecko. Potrzebny jest spokój.

Kobietą coś zatrzęsło. Zbladła. Zaczęła wargami śmiesznie mlaskać. Tylko dziecko było spokojne i niezmiennie patrzyło na doktora zza własnych rączek.

— A możeby... a możeby, panie doktorze, do Zakopanego? — wykrztusiła.

Zrobił minę na temat nieuchwytny. Ani przeczący, ani twierdzący. Coś jak — szkoda czasu, a może i nie?... Nie poznała, co to było Nie wiedział, co w tych warunkach ujawnić. Po wyjściu kobiety przeszedł się wzdłuż sieni. Mimo, że chory został sam w izdebce, coś go korciło, jakiś bodziec silny a niezdefiniowany, zobaczyć dalsze części budynku.

Było tu prawie mroczno. Piasek rozdeptany po cemencie zgrzytał nieprzyjemnie. Lekarz otworzył drzwi lewe. Dmuchnął w niego charakterystyczny zaduch wnętrza klasy, gdzie przebywa kilkadziesięcioro dzieci, gdzie ściany, pułap i wszelkie sprzęty przesiąkły mdłym fetorem dziecięcego oddychania.

Izba była najpowszedniejsza, szablonowa. W pustce dużego, ponurego domu, przez jakiś przekorny kontrast, gdzie po wszystkich kątach zasiadła obumarła cisza, każdy przedmiot uzyskał jakieś strzępy cech żywotnych: kontrolował próżne ławki samotny stół — krzesło widocznie było wypożyczone; na ścianach zwisały z gwoździa ukrzyżowane obrazki; kryły mądrość kolorowe kółka wykresów, gmatwały temat własny przebiegłe rebusy map. Szafka drzemała w kącie ukazując szparką niedomkniętego okna szyb rzędy jakichś postrzępionych książek. Zagapiła się na niego czarna facjata tablicy. Patrzały oniemiałe rzędy pustych ławek: przybysz, przybysz!...

— No, to już jest absolutnie poza mną — mruknął tryumfująco i zatrzasnął drzwi.

Tuż zaraz po drugiej stronie małego korytarzyka biały arkusz z napisem: **„Biblioteka wiejska i czytelnia „Rysa"**. Dalej były dnie i godziny otwarcia. Szarpnął drzwi zaciekawiony. Rozczarował się: szafa ze szklanymi drzwiami i książki, stół na środku i kilka gazet dość obstrzępionych i niedbale rozsypanych na nim. Długa, brązowa ławka z wyrzynaną poręczą w półksiężyce, leżała przewrócona.

Doktór skrzywił się: dużo [illegible] tu, mój kochany, też porysowałeś... (ciekawe, ciekawe!). Miał wyjść, gdy wzrokiem chwycił otwarte drzwi. Wszedł i nie wierzył własnym oczom. Szybkim, okrągłym rzutem oka doktór objął całe wnętrze. Dość długa o dwóch oknach izba pełna była półek z osobliwościami. Stały rzędem szare, ziemnego koloru urny, świadki pocałunku wieków. Lata przeczekane w głębi ciemnej wilgotnej ziemi dały im jakąś ledwo uchwytną patynę milczenia i spokoju. Kryły w swych ścianach zagadki — nieodkryte tajnie szczebli ludzkiego życia, które było. Wydobył je na wierzch człowiek słonecznego dzisiaj, obnażył ich kształty, aby stały się niezaprzeczonym świadectwem przeszłości, jaka istniała. Przypadek możny naprowadził na ich ślad i stały się przedmiotem bieżącego życia, choć zamierzchłe czasy kryją się w ich ciemnych wnętrzach.

Doktór patrzył na tę kolekcję i nie mógł się wybić z dziwnego nastroju. Nie mógł uwierzyć, że oto te przepalone, szare, pękate i smukłe, duże i małe, gładkie i zdobione prymitywem ornamentu, toczone na warsztacie nożnym i lepione palcami — sięgające kilku wieków urny kładzione rękami jakichś praprzodków w głąb ziemi ze śmiertelnymi szczątkami, które przeszły próbę ognia, — są tuż, pod jego palcami. Jakby się dotykał własnymi rękami tamtych czasów bezpośrednio. A więc widzi: Tłumy ludzi. Ognie pogrzebne. I pogrzebne płacze — „żale". Dymy przepojone zapachem sosnowych żywic. I te czasy, „te czasy"...

Oglądając resztę eksponatów lekarz właściwie marzył o urnach. Nie zajęły mu uwagi ani samorobne zamki, ani zmyślne siatki na ryby dziś już nie używane, ani wzory samodziałowych tkanin. Wbrew swej woli w jakiejś bocznej komórce mózgu segregował urny w rzędy, w komplety: z szyjkami, bez szyjek, z ozdobami, gładkie maleńkie jak piąstka dziecka.

Kiedy wyszedł z tego muzeum, nauczycielowa już wróciła. Stała w sieni. Oznajmiła, że sołtys ją zapewnił, iż konie niezadługo będą. Następnie zaproponowała lekarzowi, czyby się nie napił herbaty. Nie, nie miał chęci.

Weszli do mieszkania. Chory leżał nieruchomo z zamkniętymi oczyma. Doktór siadł na taborecie i zaczął się wypytywać o cały szereg rzeczy powszechnych, drobnych. Jakby się chciał wzruszyć, ale rozmawiał bez ożywienia, a właściwie trawił w myśli te trzy rzeczy: chorobę nauczyciela, ową „rysę" biblioteczną i tę zbieraninę pogrobnych urn, co mu się cisnęło na jakiś jeden poziom, podciągało do wspólnego mianownika.

A ta kobieta? A to dziecko? A to Zakopane?

A on?

W pewnym momencie uczuł coś jak przykrość. Wymówił się wyjrzeniem na furmankę i wyszedł. Powitało go to samo chłaszczące trzepotanie mokrych piór gołębi podrywających się na dach spomiędzy płaskich liści słoneczników. Deszcz nie padał. Pluskała głośno opadająca z okapu kroplami woda. Powiewał chłodny, wilgotny wiatr północny. Lekarz wyszedł do drogi i stanął pod drzewem. Plaskały liście o liście. Czasem upadła duża kropla wody gdzieś spomiędzy gałęzi. Oto — pomyślał — istnienie istoty: między gałęzią a powierzchnią ziemi.

Wciąż coś myślał. I nie wiadomo dlaczego gołą, suchą ręką oparł się o porżnięty, krostowaty pień kasztana oślizgły od deszczu.

Teodor Goździkiewicz

Bartłomiej Bigorajski

Teatr Ludowy na przełomie

Głos w dyskusji J. A. Króla pt. „Unowocześnienie teatru ludowego" w Nr 33 „Wsi" z dnia 25. 9. br. jest bodźcem pobudzającym do zabrania głosu, ale dyskusja na ten temat wymaga poparcia faktami rzeczywistymi i praktycznymi. Teoretyczne rozważania wymagają właściwych powiązań z życiem środowiska wiejskiego, w którym teatr ludowy działał, działa i wywiera wpływ na masy wiejskie, jako najżywotniejsza i bodajże jedyna forma życia kulturalnego.

Należy ustalić właściwe pojęcie, co to jest teatr ludowy?

1) Mianem **„teatr ludowy"** określamy teatr ludowy J. Cierniaka. Cierniak był jego inicjatorem i twórcą, redagując osobiście pismo pt. „Teatr ludowy", poświęcone zagadnieniom teatru ludowego. Działalność teatru Cierniaka obejmuje niepełny okres 20 lat. W ciągu krótkiego okresu czasu teatr ten szybko się rozwija i bogaci w formy i treść z tradycyjnego okresu życia wsi, z okresu tradycji słowiańskich, pogańsko-religijnych. Spełniał on ważną funkcję w życiu kulturalnym i społecznym historycznej wsi. Charakter jego był wybitnie tradycyjny, opierał się wyłącznie na obrzędowości religijnej i zwyczajowej. Treść jego stanowiły legendy, baśnie, dawne pieśni i prymitywna muzyka ludowa.

Jędrzej Cierniak z liczną grupą współpracowników, naśladowców zbierali, odgrzebywali, ratowali rozproszone, często nigdzie nie zapisane materiały przechowane w słowie żywym lub strzępy materiałów tradycyjnej kultury, sztuki i literatury ludowej w różnych regionach Polski. Wzbogacili bardzo dorobek kultury wsi polskiej. Zastosowali estetyczną stylizację i stworzyli z dorobku kulturalnego historycznej wsi — teatr ludowy.

2) **Teatr pseudoludowy.**

Jest to teatr z pod znaku, dzisiaj jeszcze, licznie drukowanych wydawnictw „Teatr Ludowy" — z tytułami utworów jak „Żyd w beczce", „Posag w kominie", „Zrękowiny u Guzdrały", „Jacy tacy..." itp. Powstał w odległej epoce stosunków przed i po 1890 r. — stosunków plebańsko - ziemiańsko - chłopskich. Autorami utworów tego rodzaju bywali najczęściej księża plebani, o wątpliwym poczuciu humoru a zupełnym braku zmysłu scenicznego i społecznego oraz inni liczni autorowie z okresu passy „praca dla ludu".

W miarę ewolucyjnego rozwoju ruchu ludowego i jego emancypacji z pod znaków „praca dla ludu" — wyrosła koncepcja tradycyjnego teatru Cierniakowskiego, którego celem było jednocześnie rugowanie pseudoludowego, chłopomańskiego „teatru ludowego" i upowszechnienie teatru ludowego w organizującym się społeczeństwie wiejskim — szczególnie w kołach młodzieży oraz w placówkach oświatowych i uniwersytetach ludowych, szkołach rolniczych itp. Przeciw pseudoludowym tendencjom teatru plebańsko - ziemiańskiego — teatr Cierniaka w treści przeciwstawił idealny „szczęśliwy" okres czasów słowiańskich — opartych na szczytowych wytworach prymitywnej kultury ludowej.

Teatr ludowy ogromnie pociągnął młodzież. W setkach tysięcy kół młodzieżowych początkiem, a nawet koroną wszelkiej działalności były i są przedstawienia teatralne. W kołach wyżej zaawansowanych organizacyjnie — przedstawienia odbywają się kilka razy do roku — one były i są osią życia kulturalnego i społecznego, spełniając duża rolę wychowawczą, wciągając element najlepszy (bez cudzysłowu), i najbardziej ruchliwy organizacyjnie.

Udział młodzieży w widowiskach ludowych, tak w roli wykonawców, jak widzów jest niezwykły. Nieprzeciętnym też jest zainteresowanie się teatrem i widowiskami ludowymi społeczeństwa starszego. Zainteresowanie to poparte jest nie tylko biernym udziałem w roli widzów, ale i czynna pomocą, czy to przez branie udziału w samej grze, czy też w udzielaniu pomocy, przez używanie sprzętu, rekwizytów teatralnych, potrzebnych do uruchomienia sceny lub w udzieleniu miejsca, placu lub budynków gospodarczych na scenę — gdzie brak jest odpowiednich ku temu sal teatralnych.

No i sprawa ważna — najnędzniejsze przedstawienie na wsi — ma zapewnioną „kasowość", w niewysokich opłatach za bilety wstępu — przy ograniczonych możliwościach technicznych.

W kołach młodzieży, będących przed wojną polsko - niemiecką pod patronatem akcji katolickiej — teatr Cierniaka był zwalczany przez księży i różnego rodzaju panusie z bractwa różańcowego.

Młodzież postępowa w teatrze ludowym Cierniaka szukała elementów do przekształcenia rzeczywistości. Bezsprzecznie teatr Cierniaka wnosił szereg wartości pozytywnych. Wprowadzał na scenę oprócz elementów estetycznych tradycyjnej wsi — momenty społeczne w zbiorowyhc, zespołowych inscenizacjach, urządzanych na piasku, na murawie, w stodołach chłopskich, byle gdzie, negując potrzebę sceny i swobodnie obywał się bez niej.

Jego grzechami głównymi są: **za długie bazowanie na tradycji i historycznej przeszłości — nie rozwinięcie dramatyczności.**

W artykule niniejszym nie ma miejsca na wyczerpanie całokształtu zagadnień i spraw związanych z teatrem J. Cierniaka. Temat — bardzo wdzięczny dla badaczy.

Pragnę podkreślić fakt znamienny. O ile kultura ludowa wyrastała, jak Bóg chciał i sama w sobie, o tyle teatr ludowy, nie pseudo - ludowy, wszelkie treści i formy samorodnej i samoistnej twórczości ludowej powiązał w pewną całość, wystylizował i zorganizował.

Należy być obiektywnym i nie krytykować bezwzględnie twórców, wychowawców i kierowników scen oraz świetlic teatru ludowego, którzy pracowali i tworzyli w okresie emancypacji wsi wobec „pracy dla ludu". A potem nie byli oni i młodzież w niezgodzie z ogólnym nurtem kulturalnym w okresie przed 1939 rokiem — w okresie uciekania od rzeczywistości, łatwego intuicyjnego odczuwania i wczuwania się w przeszłość historyczną (słynne essaye literackie np. „Żywe kamienie" Berenta).

TROCHE POLEMIKI

Redaktor J. A. Król pisze: „W naszej wiejskiej sytuacji wobec np. teatru Cierniaka, objaśnienia spełniłyby rolę brakujących ogniw teatru wsi z okresu jej przemian i awansu kulturalnego".

Po co objaśnienia? Okres przemian trwa —na wsi nie dokonał się w stopniu dostatecznym. Teatr Cierniaka odradzając tradycje wsi, wiązał ją z rzeczywistością i nie umiejscowiał w czasie i w miejscu.

Czyżby objaśnienia sceniczne, intelektualne, formalne spowodowały przemianę rzeczywistości do reszty. Autor przeszłości nie neguje całkowicie — ale lęka się jej o tyle, że przeszłość powyższa grozi „uwstecznieniem kulturalnym" w postępie i ciągłości kulturalnej.

Wobec dawnych „guślarzy i zamawiaczy" ze szkoły Cierniaka, Solarzowej, Deca, Niećki itp. — ob. Król stawia wymagania obowiązkowe „bardzo świadome, bardzo zintelektualizowane pisarstwo". Tego rodzaju wyrażenia, nie jasno sprecyzowane — pozwolą się domyślać, że autor miał na myśli pisarzy intelektualistów i ich utwory. Objaśniający, konferansjer, czy prologus — miałby ciekawą lekcję przed widzami — łączenia „ogniw" ciągłości kulturalnej — wobec „zamawiaczy i guślarzy" a pisarzem intelektualistą „na dorobku narodowym".

„Zintelektualizowane pisarstwo" przynajmniej na odcinku teatru ludowego, spełniałoby przez długi czas rolę dydaktyczno-tendencyjną — czyli inaczej mówiąc, w zakresie teatru ludowego „na okopach Św. Trójcy zatknęłoby chorągiewkę nad grobem w[illegible]nym i teatru.

Zostawmy to zadanie naszej kinofikacji — która posiada większe możliwości do wywiązania się z powyższej roli.

Niezrozumiale wydaja się zupełnie ostrzeżenia J. A. Króla wobec przeszłości tradycyjnej kultury wsi: „Ostrożnie", „ostrożnie" — wpadacie w „kulturę niższa", w „macierzystą strukturę gospodarczo - cywilizacyjną — dawnej wsi i możecie zahamować proces rozwoju i postepu.

Mickiewicz „wpadł" w kulturę niższą i napisał „Dziady". Tak samo „wpadali" po kolei Chopin. Moniuszko. Karłowicz. Szymanowski.

Wiem, że sceptycznie myślacy ob. Król odpowie — „Dziecino — ale to wszystko odnosi się akurat do okresu historycznego!"

W artykule w tymże numerze „Wsi" pisał— „Myśmy z niej wyszli" (t.zn. z okresu historycznego wsi — przyp. mój) i nie zapieramy się tego, aleśmy właśnie „wyszli" t.zn. odeszli i to jest zadaniem pokoleń następnych „odchodzić w związku z przeszłościa". „A w „zwiazku" znaczy znów tyle, co wiedzieć czemu się przeciwstawić, w czym i ze względu na co. I na tym polega ciagłość kulturalna". Co odrzucić? Czemu się przeciwstawić? Na co? — Zaklinaczom i czarodziejom? Czyż również tak bardzo „ostrożnie" w „związku z przeszłościa" zachowywali się nowocześni twórcy muzyki rosyjskiej, reżyserowie gigantycznych scen i zespołów teatralnych, baletowych, twórcy nowoczesnego monumentalnego teatru rosyjskiego?

Najchętniej z Redaktorem „Wsi" pojechałbym do Moskwy, ażeby sprawdzić „szkołę ostrożności" w teatrach moskiewskich dla mas.

Red. Król w podrozdziale: Dramat „Duszy Anielskiej" w tymże artykule bezwiednie sam stwierdza w żywym potoku intelektualnych myśli:

„Właśnie warstwa chłopska ma szanse nieśmiertelności (czy długowieczności), że była średniowieczna w średniowieczu i może dziś w nowoczesnej Europie być nowoczesna". — (Podkr. moje).

Do tych złotych myśli autora — dorzucić pragne moje skromne słowa: teatr ludowy Cierniaka w krótkiej swojej działalności ukoronował historyczny duchowy dorobek warstwy chłopskiej — posiada wszelkie dane stać się teatrem ludowym rewolucyjnym w ugruntowaniu nowoczesności i postepu, jako teatr dla mas wiejskich.

LEON SCHILLER

Na I-szym posiedzeniu Rady Teatralnej w dniu 16. 4. 1946 r. w Warszawie Leon Schiller wobec wysokich przedstawicieli rządu, powag naukowych, literackich i czołowych przedstawicieli świata zawodowego aktorów i reżyserów wygłosił referat pt. „Najpilniejsze zadanie teatru polskiego"*).

Wybitny znawca teatru, znany reżyser i nowoczesny inscenizator, w barwnych słowach zobrazował po krótce dzieje teatru polskiego, poczawszy od „rybałtów, klechów, dramm i poss czarodziejskich" aż do współczesnej rzeczywistości, która wcale „różowo" nie wygląda...

Zawodowy aktor polski nie wyrastał w oderwaniu od życia — życie wiazał ze sceną, rzeczywistość wnosił na scenę — będąc awangardowym wyrazicielem przyszłości.

Przyszłe zadania teatru polskiego — Leon Schiller uzależnia od niezwykłego momentu w dziejach teatru polskiego — od pomocy państwa. W ramach zainteresowania jakie okazał Ludowy Demokratyczny Rząd Polski dla teatru — mówca domaga się subwencji, nowoczesnych budowli teatralnych, nowoczesnej techniki scenicznej, nowych szkół teatralnych itp.

O utwory sceniczne mówca mniejsze wykazał zmartwienie. Teatr posiada repertuar klasyczny — wielkich mistrzów świata współczesnego — i nowi utalentowani twórcy — coś dorzucą. Reżyseria, kierownictwo literackie, inscenizacja przefiltruja sztuki i uwolnią je z nadmiaru balastu historycznego.

Poza tym do najpilniejszych zadań teatru polskiego należy: budowa i odbudowa teatrów, weryfikacja aktorów i ich uspołecznienie, reforma szkolnictwa teatralnego, wychowanie nowych kierowników i zespołów teatralnych, rozwiazanie problemów organizacyjnych, ekonomicznych i utworzenie nowoczesnej sceny dla mas.

Schiller wykreśla zupełnie pojęcia: „teatr ludowy, proletariacki, powszechny, popularny" itp. Na miejsce wyżej przekreślonych instytucji ma stanać jeden budynek teatralny w stolicy dla wszystkich „jaskiniowców i zawszańców". Wobec olbrzymich potrzeb teatru zawodowego, dla którego winno stanać w stolicy kilka budowli teatralnych, więc, dla estetów - znawców, inteligencji, dla prób eksperymentalnych, opery itp. — nie należy się temu znowu tak bardzo dziwić.

Czyli — jeden teatr dla robotników wystarczy, albowiem robotnik dotychczas nie zawsze korzystał z przynależnego jemu biletu, a ktoś inny.

(Czy potwierdzeniem tego rodzaju słusznych poglądów Schillera — była reforma zaopatrywania robotników w bilety do teatrów?)

A gdzie teatry dla mas wiejskich?

Schiller zakładać pragnie teatr dla mas o charakterze dydaktyczno - estetycznym, co jest zgodne z poglądami Redaktora „Wsi", który podobnie traktuje sprawe nowoczesnego teatru ludowego — dydaktycznego.

*) Korzystałem z przedruku — „Myśl Współczesna Nr 3—4.

Dlaczego teatr dla mas ma być akurat dydaktyczny, nawet w zawodowym teatrze aktor z natury jest złym pedagogiem, w rolach dydaktycznych przypuszczać należy, że się „zadusi". Aktor w teatrze dla mas winien grać, wstrzasać, budzić, porywać, do działania.., do pracy, do uczciwości, do moralności, do odbudowy życia w nurcie rewolucyjnych przemian.

Zostawmy naukę siodmioklasowym szkołom powszechnym, która dla „jaskiniowców" jest jeszcze dziś luksusem, szkołom rolniczym, instytutom, pismom, czasopismom, wydawnictwom popularno - naukowym no i kinofikacji. Jestem głeboko przekonany, że skoro widz „dołów" wchłonie powyższe dobrodziejstwa — właściwie oceni postacie historyczne wielkiego repertuaru — zgodnie z prawdą historyczna.

Aktor na scenie nie pokaże, jak hodować króliki futerkowe. Dydaktyczna jego rola — w teatrze dla mas — niech ograniczy się w pokazach mód.

DO CZEGO WINIEN SPÓR PROWADZIĆ?

Próba syntetyzowania rzeczywistości wiejskiej na odcinku kulturalnym i gospodarczym, dynamitowanie „czerepu rubasznego" warstwy chłopskiej, wtłaczanie literatury i kultury ludowej w nowoczesne łożysko kultury ogólnonarodowej — sa to zadania niesłychanie poważne i wymagaja wielkiej swobody i różnorodnych form działania.

Krytyk winien być dalekowidzem — szczególnie krytyk, który przed społeczeństwem wiejskim, młodzieżą, stawia wymagania w dziedzinie teatru — uczynienia skoku — na marę dziejów greckich — poczawszy od Homera aż do Sofoklesa.

W dyskusji trzeba wyraźnie formułować wnioski, aby wiedzieć:

1) Czy należy się wyrzec teatru ludowego a poprzez pola z żytem, kartoflami, burakami cukrowymi zakładać elektryczne tramwaje, które masy wiejskie będą przewozić do licznych kameralnych i monumentalnych zawodowych państwowych miejskich teatrów?

2) Czy kontynuować teatr ludowy — nowoczesny — jako jedyny teatr dla mas wiejskich — przynajmniej przez 50 lat, na piasku, murawie, czasem w stodołach, czy w budowanych nowocześnie domach kultury ludowej?

3) Jaka rolę będzie miało do spełnienia zintelektualizowane pisarstwo ludowe?

4) Jaka rolę będzie miała do spełnienia młodzież wiejska w nowoczesnym teatrze ludowym?

5) Czy stan faktyczny teatru ludowego może być predysponowany do roli awangardowej postępu i nowoczesności?

WOLNE WNIOSKI

Przekreślamy pseudo-ludowy teatr ks.ks. Mrozowiczów i innych.

Tradycyjny teatr ludowy cierniakowski — poza przymityw stylizacyjno - inscenizacyjny nie rozwinał się dalej.

Jego zalety: Wprowadził zespół, grupę sceniczna w teatrze „bez sceny". Zdołał nawiązać wybitnie bezpośredni kontakt widowni z zespołem w gromadnym, wspólnym estetycznym wysiłku inscenizacyjnym.

Ożywił, uaktywnił życie kulturalne i społeczne wsi. Scementował grupę społeczna.

Wady: Ucieczka od rzeczywistości, bazowanie na tworach prymitywizmu ludowego i najważniejsze — nie rozwinięcie zupełnie elementów dramatyczności i innych form scenicznych.

Wieś nie zna dramatu, nie pojmuje zupełnie tragiczności życia, nie lubi tragiczności— często wypaczajac istotny jej sens.

Pańszczyzna, kościół, misjonarze zabijali przez wieki całe poczuce tragizmu chwili i czasu w duszach ludzi wsi. W rozwiazywaniu problemu dramatycznego w prymitywnej, samorodnej twórczości ludowej brały udział siły nadprzyrodzone, i z reguły zakończenie było pogodne i szczęśliwe, jako swoisty, ludowy wyraz realizmu życia, w dalekim okresie tradycji.

Tego rodzaju postawa w ludowym dramacie w miarę rozwoju cywilizacyjnego i dziejowego, w okresie podporządkowania warstwy chłopskiej w system feudalno - pańszczyźniany — ulegała wypaczeniu. Dramat Jagny w „Chłopach" Reymonta — zakończył się wywiezieniem jej na furze gnoju, wobec radości i wyzwisk środowiska, prawie że z ceremoniałem religijnym i sądem „z najlepszych i najstarszych", którzy nosili baldachim za księdzem w czasie procesji. Wieś w okresie historycznym pańszczyźniano-dworskim nie chciała dramatu. Przykład „Burmistrzanki" — najbardziej dramatycznej pieśni ludowej, sięgającej tradycji średniowiecznych. W pierwotnej treści „Burmistrzanka"— dramat córki burmistrza i jego rodziny — kończy się skazaniem jej na śmierć przez utopienie, ponieważ takie było prawo, któremu nie mógł się przeciwstawić burmistrz - ojciec — skazujący własną córkę, która bezsilna wobec prawa — tonie, a za nia matka.

W późniejszych doróbkach i przeróbkach— burmistrzówna zostaje wyratowana przez swojego Jasia. Inscenizacja kończy się weselem.

Wielokrotnie sam obserwowałem zachowanie się widzów w czasie inscenizowanej przez zespół młodzieży tej pieśni, reżyserujac ją osobiście — że w momencie kulminacyjnym dramatu większość widzów się śmała — a tylko nieliczni płakali.

W życiu codziennym wsi, gdy obserwujemy zachowanie się mieszkańców, kiedy komuś wydarzy się nieszczęście — to w natychmiastowej reakcji widzów — wywołuje to śmiech — a w dalszej — cicha, skryta, zawistna radość.

„Śmiej się z cudzego nieszczęścia" — popularne przysłowie ludowe.

Albo „wieś spokojna, wieś wesoła" lub „jakoś to będzie".

Dusza chłopska zaklęta w dawne, stare prymitywne przeżycia dramatyczne, nie umiejscowiona ani w czasie, ani w miejscu, nie miała nigdy siły wzniesienia się i wyzwolenia z rzeczywistości feudalno - pańszczyźnianej.

Przemiany i burze dziejowe przewalały się ponad wsia — możliwe, że w pewnym okresie czasu — było to szczęściem dla warstwy chłopskiej — dzisiaj jest nieszczęściem.

Twórcy teatru Cierniaka nie zdawali sobie sprawy z ważności rozbudowy dramatycznej w teatrze ludowym, do okresu wojny 1939 r. Kultywowali typowy i stary dramat ludowy jako główną formę sceniczną z udziałem sił mistycznych, nadprzyrodzonych w atmosferze dusz jasnych, pogodnych, anielskich — w zespole scenicznym i wobec widzów, którzy dramatu nie zdolni byli zrozumieć.

Wojna w r. 1939 i długa okupacja germańska dokonały w środowisku wiejskim kolosalnych przemian psychologicznych, których niespowodowałby teatr Cierniaka, ani żaden inny teatr. Warstwa chłopska posiadała tak wysokie poczucie patriotyzmu w okresie wojny, że była zdolna pojąć wzniosłe momenty chwili i do głębi odczuć fatalność losu. Postawa wsi w okresie wojny i okupacji była postawą godna podziwu, niezwykła.

Nie bedzie moje twierdzenie bezpodstawne, jeżeli powiem, że w owym czasie wieś najbardziej i najgłebiej była predysponowana do odczucia tragicznego fatum.

Tego nie wolno zmarnować!

Pisarze!!!

Pisarze, kierownicy i reżyserowie teatru ludowego, krytycy, dyrektorowie kursów teatralnych dla amatorskiej młodzieży - aktorów dla scen nowoczesnego teatru ludowego!

Nie wolno zbagatelizować u młodzieży wiejskiej zjawiska — szukania uporczywie form pełnego dramatu dla zrozumienia głebokich treści dnia.

Mam wrażenie, że Redaktor „Wsi" skrzywdził Solarzową w krytycznej ocenie „Żywii". „Żywia" jest sztuka sceniczna, w której usiłowano **rozszerzyć zagadnienia dramatyczności.** Wprowadzić dramat właściwy. Tego rodzaju prób nie doceniła krytyka wogóle. Byłoby bardziej celowo Redaktorze i uczciwie pomóc Solarzowej i grupie słuchaczek i słuchaczy z U. Lud. w Brusie — w formie rozumnej rady — ułatwić im wyzbycie się balastu historycznego, który szczególnie Solarzowej dzisiaj tak bardzo ciąży.

Ktoś powiedział, że wieś nie stanie się nowoczesna, jeżeli nie przeżyje współczesnej techniki — można również podobnie stwierdzić w odniesieniu do kultury wsi — że bez przeżycia dramatu współczesnego — nie wejdzie wieś do nowoczesności i współczesności.

Reasumując swoje wypowiedzi podkreślam palaca potrzebe w nowej rzeczywistości wiejskiej rozbudowania form i treści teatru ludowego Cierniaka — wraz z jego zaletami pozytywnymi — ze szczególnym naciskiem na rozwój form dramatycznych; poza tym wprowadzić należy formy komediowe oraz zupełnie nowa formę, której teatr Cierniaka nie znał — groteskę.

Zagadnienie teatru ludowego jest ważne poprzez długi przeciag lat, zanim w planie państwowym „sceny dla mas" nie ugruntujemy jej realnych podstaw i nie wykształcimy licznych kadr aktorów zawodowych. Teatr ludowy — poprzez swoja działalność — przyczyniać się może do tworzenia nowego, zdolnego narybku aktorskiego. Wśród „ludzi dołów" sa wielkie możliwości szukania nowych talentów.

Wobec przeogromnych zadań odbudowy kraju i przebudowy w duchu nowoczesnym, musimy czekać jeszcze parę lat na budowę teatrów w miastach dla rzesz robotniczych. W sferach marzeń możemy dzisiaj realizować teatry dla mas wiejskich. Teatr ludowy w oparciu o wzory „Reduty" nie wymaga odpowiednich akcesoriów scenicznych, dekoracyjnych itp. Może być teatrem na polu, stadionie, w lesie, w stodole, w nowoczesnym budynku teatralnym. Nie znaczy to, żebym negował potrzebę budowy domów kultury ludowej, z wielkimi salami, kinoteatralnymi, albo stawiał minimum egzystencji. Jest to realne myślenie. W ubiegłym roku pochwycona przez prasę ludowa inicjatywa budowy kinoteatrów na wsi — została dawno już pogrzebana i do dzisiaj o niej głucho.

Winna być stworzona instytucja „Teatru ludowego", której zadaniem byłoby kierowanie i planowanie całokształtu spraw i zagadnień teatru ludowego.

W każdej uroczystości ludowej — obecnie — mamy większy lub mniejszy „kawałek" teatru. Teatr dzisiejszy cierpi na brak treści. Młodzież szuka nowych form i treści w rzeczywistości, które pragnie odtworzyć w teatrze na scenie. Wobec przestarzałych form i treści tradycyjnego teatru — młodzież pisze i tworzy sztuki sceniczne, próby dramatu.

Niedołęstwem było tego rodzaju wysiłki pozostawić „same w sobie". Bardzo, ale bardzo wielką rolę ma do spełnienia zintelektualizowane pisarstwo.

A oto dwa fakty:

I fakt. — Próba groteski. Sekcja teatralna Pow. Związku Samopomocy Chłopskiej w Jeleniej Górze w m. sierpniu br. wystawiła operę ludową pt. „Chłopska krew".

Nie była to opera ludowa. Sztuka sceniczna w 3 aktach. Pod kierownictwem Kurbiela, z muzyka Łazorka, z tekstem scenicznym Krajniaka — synów chłopskich. W ambicji i założeniu twórców było stworzenie nowoczesnego teatru ludowego, w nowoczesnej oprawie scenicznej, reżyserii, w oparciu o wszelkie możliwe środki techniczne Pastwowego Dolno - Śląskiego Teatru w Jeleniej Górze. Dekoracje wykonał St. Jarocki — znany malarz - dekorator już nowych scen w stolicy. Kostiumy i plastyka — stylizowane na ludowo —daleko odbiegające od wzorów tradycji regionalnych, z zasadniczym warunkiem — aktorki na „wysokich korkach".

Celem wystawienia tego rodzaju teatru organizatorzy uczynili wszystko, mimo kosztów — co należy obiektywnie zaliczyć na koncie uznania. Wywołało to zrozumiałe zainteresowanie miejscowej publiczności. Sztuka była grana kilkakrotnie, przy wypełnionej widowni, będąc wydarzeniem na Dolnym Śląsku.

Brała udział młodzież — amatorska, wiejska — starzy i młodzi. A więc — gospodarz, gospodyni, ich córka Hanka, służący — głupi Bartek, Staszek Kłusownik, który naraz staje się organizatorem świetlicy, Wojtek z Ameryki „ni pański, ni chłopski", nauczycielka — panna do towarzystwa i balet i zalani wódką przedstawiciele starszego społeczeństwa, którzy przyszli „odwiedzić" świetlice. Treść i akcja słaba, mdła. Pominięto zupełnie element dramatyczny. Głupi Bartek „kawałami" rozśmieszał widownię, głośny przed wystawieniem sztuki „kompleks korków" hamował swobode i ruchy głównej aktorce Hance.

Śmiało możnaby określić całość: „zmarnowany wysiłek", gdyby nie jeden moment — moment lekkiej groteski w III akcie. W czasie groteskowego oberka podchmielonej starej Marcinowej z byłym kłusownikiem Staszkiem w świetlicy — w ferworze groteskowym, tanecznym Staszek przewraca Marcinowe, że aż zadziera do góry nogi — ku przerażeniu reżysera a radości pękającej ze śmiechu widowni.

Moi przyjaciele ludowcy z Łodzi z wyższym wykształceniem, siedzacy obok, byli pełni oburzenia i mówili „ależ to makabryczne!" Odpowiedziałem — „nie, to było komiczne i śmieszne".

W jednym sierpniowym numerze „Przekroju", St. Naklik w korespondencji p.t. „Co grają teatry w Paryżu" pisze:

„Groteska, nieubłagana groteska, komiczna, makabryczna będzie, jak się zdaje, na Zachodzie najtypowszą forma sztuki. Elementy radosne musza współżyć z groza cierpienia. Można zachować równowage wewnetrzna dopuszczajac do współbytu, do współżycia, elementy tragiczne i komiczne".

Fakt drugi: — Próba dramatu. W Chojnastach, pow. Jelenia Góra, odbył się dwumiesieczny kurs dla księgowych Spółdzielni Parcelacyjno - Osadniczych, zorganizowany przez Ministerstwo Ziem Odzyskanych — aprowizowany przez Wojewódzki Urzad Ziemski: w liczbie 90 uczestników.

Na zakończenie kursu przyszli księgowi Spółdzielni przygotowali szereg utworów — obrazków scenicznych. Po długich naradach zaakceptowali: „najlepsze" obrazki sceniczne i po trzech próbach już w czasie egzaminów odegrano „sztuke" sceniczna w trzech obrazkach „bez sceny".

Podaję dosłownie wyjątek z II-go „aktu".

Aktor I — z lubelskiego: ...Jak tutaj jest cudownie! Nie mogłem się z okna wagonu napatrzeć do syta na piękno tej ziemi. Kiedy wiozacy mnie pociąg wjechał w okolice Wałbrzycha i jak zalotnica w rytmicznym stukocie kół, zaczął kołować i mijał strzeliste kominy fabryk, hut, kopalni węgla — zadrżałem z radości, szczęścia i dumy. Widziałem stosy bogactwa na ziemi pod ziemia.

Zawołałem w zachwycie: — O, Śląska Ziemio! Tetniaca hukiem maszyn, w szumie złocistych łanów pól i niebotycznych świerków wśród gór, pełnych uroku i zieleni.

Złącze na zawsze w twoim rytmie pracy— mocno bijace, moje chłopskie serce.

Niechaj 30-tu amerykańskich ministrów jeździ do Stuttgarttu, Lipska, Hamburga i Berlina — ja tutaj zostane i bede żył.

Niechaj Anglicy jak najbardziej się litują nad tym, że dotychczas nie usunęliśmy min z pól, ja im pokażę, jak trzeba pracować, tak jak umieliśmy za Ciebie Ziemio Śląska lać goraca krew.

W gromadnym wysiłku spółdzielczym stworzymy dla Ciebie Ziemio Nowy Dzień.

Wchodzi aktor II z białostockiego.

Ktoś idzie, musze zapytać.

— Kolega na kurs?

Aktor II — Tak!!

Aktor I — Kolega skad?

Aktor II — Z lubelskiego, z Kraśnika.

Wchodzi aktor III i IV — obaj z krakowskiego.

Aktor III — O! jeszcze jeden kolega przyjechał. To bedzie jeszcze jeden kołchoźnik, bo tak nas tutaj w Chojnastach nazywaja.

Wchodzi aktor V — z Sandomierskiego.

Jak się macie kolego! Bracie, nie widać na tobie, żebyś miał co do schudnięcia.

Aktor IV: — Uciekaj stad. Zabieraj się spowrotem.

Aktor III: — Mnie tutaj 8 kilo ubyło po 2 tygodniach (rzeczywiście — przyp. mój).

Wchodzi aktor VI — z kieleckiego.

— Co jeszcze jeden? Czemu kolega się... aż spóźnił.

Aktor I: — Domowe trudności!

Aktor VI: — Na tym kursie jesteśmy nie przez byle kogo zaprowiantowani — przez W. U. Z.!..

Aktor I: — Nnieeee... Jaa nawet z sobą chleba nie zdażyłem zabrać...

I. t. d.

Bartłomiej Bigorajski

W OSTATNIM NUMERZE „WSI"

z dnia 20 października 1946 r.:

Teodor Goździkiewicz — **W rozchyłach Orkanowego Podgronia;** Władysław Błachut — **Wieś wobec zagadnień przesiedleńczych;** Roman Kamiński—*** (wiersz); Tadeusz Baran — **Spalone gniazda;** Stanisław Piętak — **Partyzant i dziewczyna;** Władysław Dunarowski — **Przemiany na wsi;** Zygmunt Kałużyński — **Opowiadanie Teodora;** Piotr Stanisław Ziarnik — **Żywi ludzie średniowiecza;** Jan Winiarz — **Wśród dnia;** Dr Irena Filozofówna - Korzyniewska — **Rada Teatralna;** 6 ilustracji, ogłoszenia, 8 stron.

Redakcja tygodnika „Wieś" w porozumieniu z Wydz. Kultury przy Zarządzie Gł. Związku Samopomocy Chłopskiej

PRZEDŁUŻA TERMIN KONKURSU NA LUDOWY UTWÓR SCENICZNY

do dnia 31 grudnia 1946 roku

WPROWADZENIE

Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej, spełniając jedno z naczelnych zadań do jakich został powołany Związek, a mianowicie „podnoszenie poziomu kultury materialnej i duchowej wsi", postanowił porozumieć się z redakcją „tygodnika społeczno-literackiego „Wieś" celem ogłoszenia, w ramach akcji kulturalnej Związku, konkursu na chłopską sztukę teatralną.

Dotychczasowe próby zorganizowania życia kulturalnego na wsi wykazują, że teatr jest jednym z najistotniejszych i najpotrzebniejszych rodzajów pracy kulturalnej. Już przed wojną teatr ludowy odgrywał pierwszorzędną rolę, zarówno w pracy samokształceniowej, dostarczając widzowi chłopskiemu przeżyć i wzbogacając jego świadomość, jak i w pracy organizacyjnej, stając się ośrodkiem skupiającym grupę wiejską do wspólnej pracy o charakterze bezinteresownym, społecznym, kulturalnym. Dowodzi tego wspaniały rozwój Instytutu Teatrów Ludowych, który siecią swoją objął najdalsze zakątki Polski, tak, że w jednym roku 1938 zdołał utworzyć sto tysięcyt teatralnych zespołów ludowych, organizując przedstawienia, które oglądnęło nieomal dziesięć milionów widzów. Praca ta, sięgająca tradycjami do roku 1907, kiedy założony został we Lwowie „Związek teatrów i chórów włościańskich", stała się jednym z zasadniczych motorów postępu kulturalnego wsi, i ma za sobą świetne osiągnięcia w postaci biblioteki teatralnej, w Polsce wydanej i przez polskich autorów opracowanej, a liczącej blisko dziesięć tysięcy pozycyj, obejmujących wszelkiego rodzaju instrukcje organizacyjne, podręczniki techniczne, utwory teatralne, śpiewniki, poradniki charakteryzacji, tańca, muzyki — wśród nich znajdują się prace, które weszły na stałe już nie tylko do dorobku sceny ludowej, ale stały się pozycją naszej kultury narodowej jak „Pastorałka" L. Schillera i J. Maklakiewicza, czy „Wóz Drzymały" J. Rączkowskiego.

W warunkach powojennych, gdy wieś ma większe niż dawniej szanse rozwoju, na tle przeprowadzonej Reformy Rolnej, kolonizacji na zachodzie i nowych spółdzielczych form organizacyjnych, tworzonych przez Związek Samopomocy, wieś polska powinna osiągnąć nowe, doskonałe formy życia społecznego i kulturalnego. Nie może tutaj zbraknąć teatru, który do tradycyjnej swojej roli powinien dodać nowe elementy, nowe obowiązki społeczne i niepomiernie rozszerzyć tematykę i zakres działania. Teatr ludowy w nowej Polsce powinien stać się zasadniczym czynnikiem podnoszenia się społecznego i kulturalnego; dać pole utalentowanym jednostkom, organizować świadomość nowoczesnego chłopa, umacniać więź społeczną przez wspólne realizowanie nowych zadań kulturalnych, wyłaniających się przed chłopem-obywatelem ludowej Polski.

Najpoważniejszą przeszkodą w realizacji tych zamiarów jest brak nowej twórczości dramatycznej, dostosowanej do potrzeb teatrów ludowych, a jednocześnie posługującej się wartościowymi środkami artystycznymi i podejmującej zagadnienia aktualnego życia chłopskiego. By umożliwić częściowe przynajmniej zapełnienie tej luki, Wydział Kultury ZSCh i Redakcja tyg. „Wieś" ogłaszają konkurs na utwór sceniczny, wzywając wszystkich pisarzy, w pierwszym rzędzie chłopskich, do czynnego w nim udziału.

ZASADY KONKURSU

Doświadczenia dotychczasowych konkursów na utwory świetlicowe i teatralne wykazują, że twórczość tego rodzaju nie jest obfita; dlatego organizatorzy konkursu postanowili rozszerzyć jego zakres, tak, by dać możność wzięcia udziału w konkursie najróżnorodniejszym utworom dramatycznym. Pierwszeństwo jednak, ze względu na palącą potrzebę społeczną, konkurs przyznaje utworom przeznaczonym na scenę ludową i odpowiadającym następującym wymaganiom:

1) Prostota środków technicznych. Utwór taki powinien być dostępny do realizacji prostymi środkami przeciętnej sceny ludowej. Nie powinien być duży rozmiarami, tj. nie powinien liczyć więcej niż trzy akty. Nie powinien zawierać licznych i skomplikowanych zmian dekoracji, nie powinien wymagać wielkiej ilości wykonawców. Również z punktu widzenia aktorskiego powinien unikać komplikacji i subtelnych odcieni psychologicznych, trudnych do oddania ludowemu aktorowi; powinien eliminować długie monologi i dialogi, tak, by tekst był łatwiejszy do przyswojenia. Te ułatwienia techniczne bynajmniej nie stoją w sprzeczności z możliwym bogactwem zawartości literackiej, — pięknym przykładem bogactwa, przy najskromniejszych środkach wykonawczych może być widowisko „O roku ów", opracowane przez Eugeniusza Poredę i wydane w r. 1938 w Warszawie w Instytucie Teatrów Ludowych. Na ludowej scence zdołał autor ukazać, w siedmiu kolejnych obrazach, walkę narodu polskiego o niepodległość, od Konfederacji barskiej, poprzez powstanie kościuszkowskie, rok 1812, 1830, 1863, 1905, aż do czasów najnowszych. Wystarczyły mu w tym celu proste elementy dekoracyjne i kostiumowe; widowisko wiązał odpowiednimi objaśnieniami i deklamacją drobnych wyjątków Husarz, ubrany w skrzydła, z mieczem w dłoni, zjawiający się przed kotarą z początkiem każdego obrazu. Poszczególne sceny posługiwały się prostymi, symbolicznymi znakami dekoracyjnymi, które wyobrażały całą dekorację; kowadło oznaczało kuźnię, w której gromadzą się kosynierzy, krzyż — obóz powstańców na polu, pod przewodnictwem księdza Marka itd. Podobnie proste, fragmentaryczne były kostiumy, gdzie jeden element wyobrażał cały strój, np. czako i broń oznacza żołnierza, peleryna — księdza, rogatywka i kosa — kosyniera, itp. W ten sposób teatr ludowy zdołał objąć kawał historii Polski, złożony z licznych scen; widowisko to bywało wykonywane w uprzątniętej stodole, i nie traciło niczego z wewnętrznego bogactwa. Tak więc prostota środków bynajmniej nie ogranicza autora w czasie ani w przestrzeni; daje mu możność ukazać złożone zjawiska, dziejące się w przeszłości i na obcym terenie, a wcale nie zmusza go do zamknięcia się w jednej chacie. Podobnie posługując się niewielką ilością wykonawców, ukazywać ich może w coraz innych rolach, wprowadzając przez to wiele postaci, przy kilku ledwie aktorach. Tak więc postulat „prostoty technicznej" nie zmniejsza, nie ogranicza środków autora, a tylko je w specyficzny sposób organizuje.

2) Główny temat: współczesne zagadnienia społeczne. Drugim warunkiem, do którego przykładają wagę organizatorzy konkursu, jest, by nowy dramat ludowy wprowadził do swej tematyki główne zagadnienia aktualnej rzeczywistości, przede wszystkim chłopskiej, a dalej i ogólnonarodowej. Tłem więc, lub tematem, zdarzeń, które stanowią fabułę, powinny być społeczne zagadnienia: wojny, partyzantki, wyzwolenia, Wielkich Reform, w pierwszym rzędzie Reformy Rolnej, kolonizacji Zachodu, organizacji nowego życia (praca spółdzielni, ZSCh, itd.). Jest to tematyka trudna, ponieważ nie istnieją dotychczas próby, któreby służyły przykładem, czy choćby mogły uchodzić za doświadczenie w tym zakresie. Istnieją coprawda dwa schematy, niejednokrotnie reprodukowane na scenie ludowej: żołnierski (przykład: „Jak kapral Szczapa wykiwał śmierć"), i spółdzielczy (historia założenia kółka rolniczego, czy spółdzielczego, któremu sprzeciwia się pleban, czy wrogowie postępu wsi albo wiejscy awanturnicy; wreszcie, po wielu kłopotach, udaje się przezwyciężyć trudności), ale wartość artystyczna tych szablonów dramatycznych jest niska, i trudno je zalecać. Najtrafniejszą drogą będzie zapewne inscenizowanie zdarzeń, w ich rzeczywistym przebiegu, bez dorabiania sztucznej dobudówki literackiej — a więc forma czegoś w rodzaju reportażu scenicznego. Możnaby tu wskazać świeżo wydaną książkę A. Olchy „Nowa Naprawa", której treścią jest zorganizowanie się ubogiej wsi podkarpackiej, celem skolonizowania Zachodu. Naprawianie zakładają tam osadę, którą nazywają od matczynej „Nową Naprawą". Książka ta nadaje się do przeróbki scenicznej, w ten sposób, by poszczególnym rozdziałom odpowiadały sceny narady, przygotowań, podróży, założenia nowej osady. W ten sposób fakty życia i pracy chłopskiej, bez zbędnego koloryzowania i literackiego ozdabiania, bez wprowadzania naiwnej fabuły w rodzaju historii kochanków, którzy z końcem sztuki szczęśliwie się łączą itp., mogą być w surowym kształcie przeniesione na scenę. Oczywiście takie ograniczenie tematyczne, jakie tu proponują organizatorzy konkursu, nie powinno być traktowane jako coś sztywnego. Warunkiem udania się konkursu musi być swoboda środków artystycznych, a więc i tematyka nie może być zakreślona rygorystycznie. Nie ma tu miejsca na analizowanie dokładne możliwości jakie stoją przed dramatopisarzem ludowym, i dlatego projekt konkursu wytycza zakresy ogólnikowe, schematyczne. Zagadnienia wskazane w tym punkcie są tak obfite, że mieszczą w sobie najróżnorodniejsze odcienie; autor bez wahania może wprowadzić np. tematykę historyczną, ukazując walkę chłopa o wolność w czasach dawniejszych, a nawet inscenizując zdarzenia z historii Polski, o aktualnym wydźwięku społecznym (walka z niemczyzną). Podobnie osobiste i rodzinne perypetie nie muszą być wykluczone, jeśli np. ukazują moralną ewolucję rodziny chłopskiej, konflikt pokoleń chłopskich (por. dramat Pogana „Rodzina Ciemnych", drukowany w n-rach 15, 16 i 17 „Wsi"). W temacie tym mieszczą się nawet obrzędy ludowe, o ile ujęcie sceniczne nada im nowego sensu społecznego (np. „Dożynki" A. Kamieńskiej, drukowane we „Wsi", ukazujące ów tradycyjny obchód w nowej perspektywie społecznej w gminie, w której nie ma już pana). Możliwa jest wreszcie przeróbka sceniczna istniejących już materiałów, np. powieści (por. „Sieboda" Orkana w inscenizacji Mierzejewskiej, inscenizacja ballad Zegadłowicza, inscenizacja „Franka Rakoczego", wydane przez Instytut Teatrów Lud. w latach 1937-39), a nawet materiałów socjologicznych, pamiętnikarskich (Pamiętniki Chłopów, Emigrantów), w postaci uscenizowanych monologów, ilustrowanych teatralnie, itd., itd. Czerpiąc jednak z tych materiałów i wykorzystując bogactwo możliwości, powinien autor pamiętać o koniecznym wydźwięku społecznym, o sensie pedagogicznym, moralnym, ideologicznym, który wydaje się niezbędny w tym nowym dramacie.

3) Artystycznie wartościowa forma. Trzecie wreszcie zastrzeżenie, jakie wyznaczają organizatorzy konkursu, tyczy zakresu i charakteru ambicji artystycznych utworu. Punkt ten wydawałby się zbędny bo jest wszak oczywiste, że konkursowe dzieło literackie musi odpowiadać wymaganiom artystycznym, wyznaczonym przez sam fakt konkursu. Jednak gdy idzie o scenę ludową, zastrzeżenie takie jest konieczne, i winno być jasno określone. Powołujemy się tu na walkę, jaką staczał przez całe życie Jędrzej Cierniak, niestrudzony organizator teatrów ludowych, długoletni redaktor i wydawca „Teatru Ludowego", tępiąc nieszczęśliwą tradycję „sztuczki dla ludu", zapoczątkowaną przez Anczyca i eksploatowaną potem w dziesiątkach żałosnych utworów, zaśmiecających scenę ludową. Utwór taki ma u swej genezy pogląd, że lud jest niedorozwinięty umysłowo, podobnie jak dziecko, i wymaga traktowania specjalnie pobłażliwego. Konsekwencją tego poglądu jest infantylna naiwność fabuły, głupawość postaci i wygłaszanych przez nie maksym, i ogólny ton uproszczenia, „jałmużny kulturalnej" jak nazwał Cierniak podobną twórczość, którą bez przesady można określić jako antyludową. Jako wzór utworu, dostosowanego do wymagań sceny ludowej, a wartościowego artystycznie, wskazywał Cierniak „Wóz Drzymały" Józefa Raczkowskiego. Tak więc, pomimo ograniczenia, jakie nakłada ubóstwo środków sceny ludowej, obowiązuje dramatopisarza ludowego dbałość o wysoki poziom myślowy i artystyczny utworu, przy czym nie ma potrzeby uważać widza ludowego za niedojrzałego do zrozumienia nawet trudnych i subtelnych chwytów literackich czy scenicznych. W zakresie formy pozostawiają organizatorzy konkursu zupełną swobodę autorowi, jako jedyne wymaganie stawiając, by utwór posiadał zalety dobrej sztuki popularnej, nie wysuwają zaś żadnych szczególnych postulatów w zakresie fabuły, charakterystyki czy języka. Podobnie nie jest wymaganym realizm, jako jedyna forma dopuszczalna; przeciwnie, trzeba się zgodzić, że wielkie tematy społeczne, jak wojna, rewolucja, emigracja, równie dobrze mogą być wyrażone przez schematyczne uproszcznia, przez symboliczne postacie, zarówno przez patos poetycki co przez realny obraz rzeczywistości.

Mimo jednak, że organizatorzy konkursu uważali za stosowne ująć w kilku punktach wymagania, jakie stawiają utworom konkursowym, stwierdzają jednak, że pożądany jest napływ również utworów, które nie mieszczą się w określonych wyżej ramach, i że utwory takie bezwzględnie będą wzięte pod uwagę przez sąd konkursowy. Zamiarem bowiem konkursu jest uzyskać jak najwięcej prac, celem zorientowania się w możliwościach dramatopisarstwa ludowego. Tak więc mogą i powinny być nadesłane na konkurs utwory trudne, które nie zdołają się pomieścić w ramach teatru ludowego, wyrażają przecież współczesne problemy ludowe; należą tu utwory fantastyczne, trudne poematy dramatyczne, wreszcie dzieła przeznaczone na scenę ogólnonarodową. Wreszcie sztuki autorów-chłopów, nawet w wypadku, gdy nie wiążą się tematem i charakterem z problemem wsi, również będą wzięte pod uwagę, mają szanse otrzymać nagrodę. Należy jednak podkreślić, że pierwszeństwo będą miały utwory, odpowiadające warunkom oznaczonym w trzech wyżej wyliczonych punktach.

Z. K.

NAGRODY: I — 20.000 zł
II — 15.000 „
III — 10.000 „

Na konkurs można nadsyłać tylko utwory dotychczas niedrukowane, natomiast rzeczy które były wystawione, ale nie drukowane, mogą uczestniczyć w konkursie. Do tekstu należy dołączyć zaklejoną kopertę z nazwiskiem i adresem autora, przy czym na kopercie należy umieścić godło. Takie samo godło należy wypisać na egzemplarzu sztuki.

Po zamknięciu konkursu, redakcja tyg. „Wieś" w porozumieniu z kierownikiem Wydz. Kultury Zw. Samopomocy Chłopskiej, poda skład Sądu Konkursowego. Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie pierwszeństwo nabycia i drukowania nagrodzonych i nadesłanych utworów.

Termin nadsyłania prac
upływa w dniu 31 grudnia 1946 r.

Prenumerata „Wsi" wynosi zł 25 miesięcznie, zł. 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga - Michalski Józef, Pietak Stanisław. **Komitet terenowy:** Frasik Józef Andrzej, Nędza - Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, ½ kolumny zł. 30.000, ¼ kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś" Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" - Łódź ul. Żwirki 2. D—093-63